



W NUMERZE:

**REPORTAŻ  
Z DANII**

**WOJNA  
PLASTYKÓW**

# odrostosy

TYGODNIK  
ŁÓDZKI

Rok I. ŁÓDŹ,  
dn. 31 sierpnia 1958 r.

nr  
**27**

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## ZAKON BŁĘKITNYCH RYCERZY

(fragmenty opowiadania)

Justyn przystanął. Ulica opadała w dół. W dalekiej perspektywie ciemniało rzadko zalesione wzgórza, za którym dogasało czerwone słońce. Zdawało mu się, że właśnie teraz nastąpi niezwykła chwila — spłoną olbrzymie, stare sosny, wypali się wieża kościółka, popękają,

rozlecą się od ognia mury wiekowego klasztoru.

Wypełnione wapnem wozy ciągnęły wolno, hałaśliwie po nierównym bruku, grupa przechodniów zniknęła za bramą parku. Ulica znówu przycichła.

Wdrapał się szybko na poszarpany, nierówny mur z kamienia, zeskoczył na dach szopy, już po drugiej stronie, zsunął się błyskawicznie na ziemię. Kiedy biegł przez opuszczone, sennie podwórze, porosłe wysoką trawą — zegar katedralny wybijał godzinę ósmą.

Powiniem zdążyć — myślał wskakując przez okno do wnętrza starego browaru, porzuconego od wielu lat przez ludzi. Piął się szybko po skrzypiących schodach, przeskakiwał stopnie, wpadł wreszcie do olbrzymiej sali na drugim piętrze. Zegar właśnie umilkł. W prostokacie szerokiego okna, pozbawionego ram, dostrzegł sylwetki kolegów. Zeszli się już wszyscy. Podszedł bliżej, objął w pól Socjalistę. Przed nim ciągnęła się długa rozległa dolina, otoczona pasmem łagodnych wzgórz. Lasy były już tylko siną wstęgą, domy na dnie doliny — tylko światełkami. Zapalały się, gasty jak gwiazdy.

Pośrodku obszernej sali na splekanych kamiennych płytach stała olbrzymia kadz po piwie, wywrócona dnem do góry. Wokoło usta-



**ZAKAZANA  
MIŁOŚĆ**



**BELFER...**



**RANDKA  
NA  
BAŁUTACH**

patrz str. 4 i 5

wił pięć małych bezułek. Justyn wydobyl z teczki pięcioramienny lichter i postawił ostrożnie na kładzi. Ciemną salę rozjaśnił żółty blask pięciu woskowych świec. Pełni powagi, skupieni, niczym średnio-wieczni rycerze, siedli na bezułkach. Justyn dostrzegł na przeciwległej ścianie drgające nerwowo cienie Miazgi, Chorwata. Księża i Socjalisty.

Księżę podniósł się wolno, przykniął oczy. Jego chuda, blada twarz, oświetlona z dołu żółtym płomieniem świecy, wyglądała upiornie. Justyn wzdygnął się mimo woli.

— Bracia doktorzy! Otwieram pierwsze posiedzenie Zakonu Rycerzy Błękitnych. Dziś odczytamy manifest zakonu.

— A jakie imię przeznaczyłeś dla siebie? — w głosie Socjalisty zabrzmiała cieniutka, ledwie wyczuwalna nutka ironii.

— Tristana, doktorze, nazywany dotąd Socjalistą.

— No, jeśli twoja wojewodzianka ma być eteryczną Izoldą, to może lepiej nie wprowadzamy żadnych zmian.

Zachybotaty płomyki świec od gwałtownego śmiechu, cienie rycerzy błękitnych rozpoczęły apokaliptyczny taniec na ścianach.

— Ciszej, panowie, jeszcze cię usłyszysz — miłygował zebranych Chorwat.

Powstał Justyn i ostro zaprotestował przeciw śmiechom i „wszelkiej innej niepowadze w chwili tak uroczystej”.

— Nie musimy się wstydzić swoich nazwisk, nie nam się stroić w cudze. Każdy z nas powinien być przede wszystkim sobą, a wtedy zakon z pewnością wypełni swoje szczytne cele!

Jego podniesiony głos, przejęcie sprawą, przywołały zebranych do porządku. O zmianie nazwisk nie było już mowy.

Pochylił się w stronę świecznika, rozwinął pergamin, zapisał tłustym, gotyckim pismem. Na każdą zsunęła się wielka pieczęć, wiskana na dwóch kolorowych sznurkach. Czytał:

— „Jak Arturowi rycerze czynić będziemy ludziom dobrze, jak nieśmiertelny doktor Judym nie znamy szczęścia osobistego, dopóki nasze pokolenie przyszłej wiosny nie przyniesie”.

Składali w milczeniu podpisy na pergaminie, stawali się od tej chwili błękitnymi rycerzami,

Już niebo przypruszyły gesto gwiazdy, kiedy Miazga otworzył niewielką księżkę.

„Miejscem bardzo droгим dla Borowicza i jego kolegów przez cały czas egzystencji w klasie ósmej był tak zwany Stary Browar, obszerna posesja leżąca u wejścia na przedmieście wygwizdowskie. Niegdyś istniała rzeczywistość w tym miejscu fabryka nędznego piwka. Z czasem właściciel jej zrujnował się doszczętnie, a całkowity jego „interes” poszedł w ruinę.

— My jesteśmy dziedzicami tej ruiny — odezwał się Księżę.

— My też w ósmej klasie, nam też to miejsce najdroższe. — Justyn drżał z przejęcia.

— Radek w tej sali śpiewał: „Młoty w dłoń, kujmy broń” — dodał cicho Socjalista.

Dojrzała noc, czas wracać. Wysoki Księżę wdrapał się lekko na szopy i wciągał kolejno rycerzy na dach. W tym geście wyrażającym wzajemną pomoc, koleżeństwo, przyjaźń — zamknął się niezapomniany dzień powstania Zakonu Rycerzy Błękitnych.

Z dachu widać było dokładnie stary sąd, posrebrzony światłem księżycy, brudną zamuloną rzeczke, nad którą dawni uczniowie obrzucili błotem nauczyciela Majewskiego, szpicla. Ześlizgiwali się po murze na pustą ulicę. Dotarli w milczeniu aż do kamiennego figury świętego Antoniego. Granitowy posązek, skryty pośród bzu stał na rogu ulicy. Mała czerwona lampka oświetlała zastygłą twarz światka. Krzyżowało się tu pięć ulic. Rozeszli się nimi pojedynczo, zgodnie z przyjętym rytuałem zakonu.

Justyn wracał do domu zamyślony.

Kiedys, w odległym średnio-wieczu żyli romantyczni rycerze. Samotnie przemierzali świat szukając kielicha, z którego piał Chrystus w czasie ostatniej wieczerzy. A szukając tego kielicha, owego świętego Grała, którego strzegł półdzicy mnisi w górach Hiszpanii, czynili ludziom dobrze. Przed nimi była krzywda ludzka, za nimi życie wypogodzone orężem Arturowego rycerza... Nie tak dawno temu żył w Warszawie doktor Judym, szczęścia osobistego nie znalazł, porzucił ukochaną, aby lepiej walczyć ze złem. Podjęliśmy dzieło wielkie! — rozmyślał Justyn — ale czy nasza działalność będzie skuteczna, przejdzie do historii szkoły, zostanie na zawsze w starych murach, powtarzana z pokolenia na pokolenie?

W bramie domu zatrzymał go dozorca.

— Pahlenka przyniosła list... już zapłacone.

Justynowi załopotano serce. Wpadł jak burza do mieszkania, pocałował w biegłą rękę matki i zniknął w łazience. Renata pisała, jak zawsze, na grubym, sztywnym, żółtym papierze.

— „Kochanie moje!

Chcę Ci uprzyjemnić chwilę, kiedy dziś będziesz się uczył, piszę te słowa kilka. Otóż na pierwszej lekcji myślałam o Tobie modląc się, aby Ci się powiedło z łaciny. Ja miałam dziś klasówkę matematyczną i napisałam ją dobrze, bez żadnego błędu. Co do chemii to

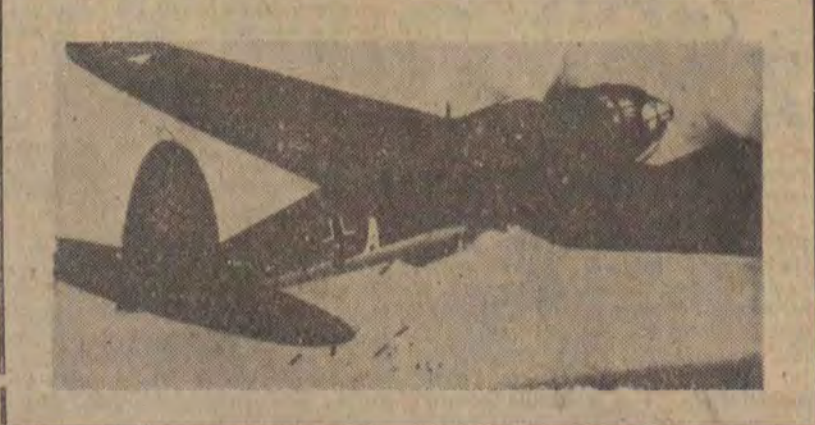
(Dalszy ciąg na str. 6 i 7)

**TADEUSZ  
CHROŚCIELEWSKI**

**TWARDOWSKI**

Rankiem działa odeszły.  
Cicho były z dali,  
Niebo było bezradne jak  
strzeleckie rowy.  
Na próżno wyglądano  
orłów narodowych...  
Ostatni wzbil się w błękit  
i Wisłę zapalił...

I wtedy go widzieli —  
natechniony polityk,  
Szatniarz, pewien generał  
w drodze na Pokucie —  
Jak ze zgrozą w źrenicach  
wzleciał na kogucie  
I zadartym szabliskiem  
rąbał messerschmidty.





Wielu ludzi pisało już o Danii. E. Garbacik napisał piękną książkę o wsi duńskiej. Każdy Polak wie, że Dania to masło, sery, bekony, przysłowiowa uczciwość, rowery. I oczywiście król objeżdżający codziennie konno ulicę Kopenhagi.

Dlatego w liście ze stolicy tego miłego państwa nie piszę o ważnych problemach ekonomicznych, lecz o sprawach codziennych, ciekawostkach.

Duńczycy nie lubią klaskać. Jeśli poseł wygłosi w parlamencie piękne i krótkie przemówienie, jeśli potrafi rozsądnie uzasadnić swoje wnioski, otrzymuje od kolegów-posłów po dwa ury. Jeśli zaś owo krótkie przemówienie było kunsztem krasomówstwa kwota ta urasta do 5 ury. Jest to swoisty, symboliczny dowód uznania, ury bowiem niewiele więcej jest wart od naszego grosza.

Duńczycy pokpiwają ze swego wojska, twierdzą i marynarki wojennej. Utrzymują to wszystko dlatego, że są członkami NATO, w którym odgrywają oczywiście rolę bynajmniej nie pierwszorzędną. Dlatego też muszą — woleń-niemi — wykonywać skrupulatnie zarządzenia USA, które nakazują temu miłującemu pokój krajowiłożyć wcale pokasne środki na wojsko, armaty i okręty. Młody student oprowadzający turystów po porcie używa sobie na tej militarnej potędze. Bismarck — powiada — rozemniał się w swoim życiu dwa razy: raz, kiedy zobaczył naszą twierdzę kopenhaską i drugi, kiedy dowiedział się o śmierci teściowej.

Duńczycy ze zrozumiałych względów kochają turystów. Dlatego budują coraz więcej hoteli, gasterhausów, które nie zawsze przypominają nasze gospody, nawet wręcz przeciwnie: są bardziej czyste, schludne, wytworne i przytulne. W trosce o turystów produkuje się tu niezliczone ilości wszelkich tanich pamiątek, drukuje się znaczki pocztowe o różnych deseniach i z podobiznami licznych królów duńskich. Króla szanują: jest symbolem państwa i suwerenności. W tej chwili bawi w swojej rezydencji prywatnej w Jutlandii o czym przewodnik, student weterynarii, informuje w sposób następujący:

— Oto widzicie państwo pałac królewski. Piękny pałac. Króla, niestety, nie widać, gdyż przebywa obecnie w Jutlandii we własnej rezydencji. Nabył ją sobie za swoje pieniądze, przeciwko czemu ja oczywiście nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń. Jestem pewien, że po ukończeniu studiów i wyleczeniu sektek świni i krów, nabędę nie mniej piękną rezydencję, która tym się tylko będzie różnić od królewskiej, że ja w niej będę zamieszkiwał.

Ojciec obecnego króla, który w czasie okupacji jeździł na swoim koniku po ulicach Kopenhagi, demonstrując w ten sposób suveren-



Gwardzista przed pałacem królewskim.

ność państwa, cieszył się szczególną estymą. Dowiedziawszy się, że Gestapo poleciło Żydom włożyć żółte opaski, miał pono oświadczyć, że on i cała jego królewska rodzina uczynią to pierwsi. Fama głosi, że podobną opaskę taką nosił przez jeden dzień. Gestapo odwołało nakaz. Ciekawe, co? Bardzo grzecznym musiał tu być szef Gestapo. Ten sam grzeczny diabełmen kazał rozstrzelać w r. 1943 niemało spokojnych obywateli Danii.

Przed pałacem króla, nawet w czasie jego nieobecności, spaceruje

czyków spełnia poczta i komunikacja.

Poczta przynosi człowiekowi z reguły dobre wieści — twierdzą Duńczycy i dlatego zapewne ubrali swych listonoszy w wesołe, raczej rozweselające stroje. Czerwony spencerak suto szamerowany złotem, granatowe, znowu złotem wyszywane czapczki, barwne torby z wyszywami trąbkami, wypis-wymaluj listonosz z czasów Dickensa, brak tylko dyżlansów, pana Piekwicka i Sama.

Pocztę otrzymuje obywatel duń-

WALDEMAR BABINICZ

## CIEKAWOSTKI DUŃSKIE

Korespondencja własna

bardzo energicznie i w bardzo malowniczych strojach gwardia królewska. Młodzi gwardziści uzbrojeni w muszkiety, w kolosalnej wielkości czapach, barwnych mundurach, wystukują takt nogami i tylko pozornie wyglądają groźnie. Wytupawszy odpowiednią ilość taktów zatrzymują się, ustawiają wygodnie muszkiety między stopami i pozwalają się dowoli fotografować turystom, którzy też — zwłaszcza Amerykanie — z okazji tej korzystają skwapliwie. Jest zaś tych turystów amerykańskich w Danii taka ilość, iż bez trudu zapewne potrafiliby opanować nie tylko pałac królewski, ale i wszystkie fabryki, doki, porty i chyba całą przemyślną duńską. Duńczykom zapewne również takie myśli chodzą po głowach i dlatego sympatię do potężnego przyjaciela uzależniają od jego stosunku do małych narodów.

Bardzo ważną rolę w życiu Duń-

ski trzy razy dziennie, na wsi dwa. Oczywiście listonosz pełni jednocześnie funkcję szofera i ochrony policyjnej. Sam zajeżdża zwinnym wozikiem przed dom adresata, wyskakuje z szoferki, otwiera drzwi czki bagażu, wyjmując korespondencję i nie troszcząc się o losy pozostawionych przesyłek, listów wartościowych, paczek, udaje się w głąb mieszkania.

— Czy nie obawia się pan, że ktoś może wykraść te wszystkie skarby z pańskiego wozu? — zapytuje beztrzęsłego młodzieńca. Człowiek w czerwonym kitlu zsuwa czapczkę na tył głowy, przygląda mi się bacznie i wybuch śmiechem.

— Dowcipny z pana facet. Dobry kawał, co? Cud z tą korespondencją i c u d z e pieniądze? Udało się panu.

Śmieję się również i obaj jesteśmy zachwyceni moim dowcipem.

(Dokończenie na str. 11)

dzisiaj Belfer daje dobre rady automobilistom

Nasza szkoła

## W TYM SZALEŃSTWIE JEST... SPECYFIKA

Annie Pogonowskiej i Jerzemu Oplustłow

Polacy dzielą się ninie na trzy kategorie:

- tych, co marzą o posiadaniu samochodu,
- tych, co nie tylko marzą, ale i kombinują, jak samochód posiadać,
- tych, co mają samochód, bądź na gotówkę.

Pierwszymi zajmować się nie będą, gdyż marzenia platoniczne są wewnętrzną sprawą każdego człowieka i nikomu nic do tego, czy pan Ksiński marzy o posiadaniu samochodu, Lollobrigidy czy teki ministra.

Trzecimi zajmować się nie będą, gdyż widocznie doskonale umieją zajmować się sami sobą.

Zajmę się tymi drugimi. Mamy za sobą różne szaleństwa: wolnościowe, wyjazdowe i dyskusyjne. Aktualnie tkwimy na etapie szaleństwa samochodowego. Świadczenie prawdziwości tego twierdzenia dają fakty drobne, ale tzw. „nieomylnie świadczące o”...

Jak podały „Szpilki”, jakaś małomłasteczka gazeta wydrukowała pełną listę posiadaczy samochodów w tym właśnie miasteczku. „Szpilki” to wykpiły. Nieśluszenie. Gdyby podały one listy posiadaczy samochodów w Warszawie albo listy zarobków dziennikarzy, literatów, satyryków, aktorów, lekarzy, adwokatów itp. — byłoby najpoczytniejszym piśmem w kraju. Wcałe niegłupi, jest redakcja tego — a nie „Szpilki” — piśmka.

Wszyscy moi znajomi płci męskiej mówią, że czas



wolny od innych zajęć dyskusjom na temat samochodów lub sposobu ich zdobywania. Wszystkie moje znajome płci żeńskiej cały wolny czas od innych zajęć poświęcają rozmowom o osobnikach płci męskiej, którzy posiadają samochody. Wszyscy moi lepiej zarabiający znajomi ciążą na samochod. Inni, mając na względzie posiadanie takiego jeżdżącego stwora wynajdują gwałtownie krewnych za granicą, morgl jakiego i place, do których można zgłosić tytuł własności itp. Na kursy prowadzenia wozów trudniej jest się dostać niż na uniwersytet etc. etc.

Szał ten jest irracjonalny, tj. sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem i tak zwana trzeźwa kalkulacja. Dlaczego? Voila!

Samochód — licząc średnio, kosztuje 80.000 zł. Jego utrzymanie, tj. benzyna, garaż, ubezpieczenie, mandaty, drobne reperacje i wewnątrz



samochodowe inwestycje — 1.500 zł miesięcznie. Samochód taki jeździć może plus minus około 5 lat, oczywiście po dwóch mniej więcej remontach, w tym jednym generalnym, które oczywiście z zakupieniem części zamiennych wliczamy na 30.000 zł. Czyli ogólny koszt posiadania samochodu w ciągu 5 lat wynosi 200.000 złotych polskich. A to znaczy (pomniejszając nieco owa suma — każdy na czymś tam oszczędzi) 3.500 zł miesięcznie.

(Dokończenie obok)



Gdzie? W czym? W kinie albo może w muzeum? Nie. W książce Heleny Duninówny pod skromnym tytułem „Gawędy o dawnej Łodzi”. Znana autorka niezwykle uroczyście książek „Niespodzianki warszawskie” i „Ci, których znam”, wydanych w latach poprzednich, obdarzyła swych nowych współczesników — jako powojenna mieszkanka Łodzi — piękną książką o ich trudnym i niepopularnym w literaturze mieście. Jest to wspaniały dokument ludzkiej wdzięczności za przytulisko udzielone przez miasto robotnicze autorce, ocalałej z pożogi wojennej i zgłaszczą stolecznych.

Trudno tę książkę przyporządkować jakeimś określonemu gatun-

nowi literackiemu. Autorka nazwała ją skromnie zbiorem gawęd. Ale słowo „gawęda” nie określa dokładnie charakteru poszczególnych rozdziałów tej książki. Każda „gawęda”, a jest ich aż 37, gra rolę niezbędnego rozdziału w dobrze skomponowanej całości. Ta całość to opowieść o dziejach Łodzi od jej początków w wieku XVI aż do naszych bez mała czasów, bo do roku 1912. Oczywiście dla nas starszych rok ów to jeszcze „nasze czasy”, ale dla średniego i młodego pokolenia czasy sprzed pierwszej wojny światowej, to czasy niemal legendarne, epoka zamierzenia, zapewne z wielkim trudem przez nich umysławiana. Więc te gawędy Duninówny o Łodzi są dla nich, czyli dla większości łodzian, książką par excellence historyczną.

Największą wartość literacką tej książki upatruję w chronologicznym uporządkowaniu materiału faktycznego, w trafnym doborze i

odpowiednim zestawieniu dokumentalnych fragmentów i źródłowych cytatów, w ogólnej kompozycji całości, w czystości języka i w ciepłym, sympatycznym tonie, w jakim utrzymane są te bardzo ładnie i specyficzne łódzkie „gawędy”.

Jak początek każdego znaczącego ostatec podobnie i początek Łodzi tonie w pomroce dziejów. Łódź również wyszła na arenę historyczną z legendy i z puszczy. Szczątki niektórych z odmian tej legendy przytacza w swej książce Duninówna, zaś szczątki tej puszczy można jeszcze dziś oglądać w postaci wielowiekowych zabytkowych dębów choćby w parku „Zródliska” lub w parku Mickiewicza na Julianowie. Z legendy i z puszczy Łódź niezmiernie przechodzi w historię pisaną. Pierwszy dokument wzmiankujący o niej pochodzi z roku 1332. Ten dokument zapoczątkowuje dzieje Łodzi średniowiecznej, nie to wsi, nie to osiedla miejskiego, choć niby z nominacji miasta. Te dzieje trwały aż do roku 1841, kiedy to rozpoczęły się dzieje nowoczesnej Łodzi przemysłowej. Dysproporcja między znaczeniem ogólnokrajowym Łodzi średniowiecznej i Łodzi nowoczesnej zaznaczyła się choćby w samej ilości miejsca zajętego w książce Duninówny. Przeszło 500-letnie dzieje Łodzi średniowiecznej wyczerpane zostały w sześciu początkowych rozdziałach, podczas gdy pozostałe sto lat Łodzi nowoczesnej zajmuje resztę książki. Dramatyczne narodziny Łodzi przemysłowej, kształtowanie się nieznanego dotychczas w dziejach narodu oblicza wielkomiejskiego proletariatu fabrycznego znalazły w autorce

skrupulatną kronikarkę. Wzrastający antagonizm między klasą fabrykantów i klasą robotników na tle bezwzględniego wyzysku i krzywdy nadaje następującym po sobie rozdziałom książki bardzo wyraźne odczuwalny rytm, pełniący w niej rolę jakby ciągłej narastającej groźnej akcji powieściowej. Punktami kulminacyjnymi tej akcji są styczne strajki, począwszy od tego w

MARIAN PIECHAL

## DAWNA ŁÓDŹ JAK ŻYWA

roku 1861, a skończywszy na tym w latach 1905—1907.

We wszystkich opisywanych przez siebie sprawach autorka nie wykracza oczywiście nigdzie poza ramy obowiązującej kronikarza i historyka obiektywności. Jednak pewne sympatie autorki zdradza ton, jaki przebiega z poszczególnych jej relacji i opisów. Dzieje Łodzi legendarnej i średniowiecznej owiane są oczywiście inną aurą uczuciową, niż opis starć robotni-

czych podczas dni strajkowych. Także obrazki z życia obyczajowego łódzkiej fabrykantów i łódzkiej robotników różnią się, rzecz zrozumiała, diametralnie w tonacji i w kolorystyce.

Niezwykle cennym elementem w książce Duninówny jest opis wzrastających z latami ambicji kulturalnych miasta Łodzi, narastanie swoistych tradycji, mimo wyjątkowo trudnych i niesprzyjających warunków, spowodowanych nagłym w ściele amerykańskim tempie wzrostem ludności, tak różnej przecież pod względem zarówno narodowościowym, jak społecznym i obyczajowo-kulturalnym. Swoiste narodziny inteligencji łódzkiej znalazły w autorce bardzo spostrzegawczą i czułą protokolantkę. Obraz dawnej Łodzi, z której narodziła się Łódź współczesna, przedstawiony w jej książce, jest prawdziwy.

Oczywiście są w niej, jak zwykle w tego rodzaju pracy nieuniknione, drobne usterki i pomyłki, zresztą do usunięcia w następnym wydaniu, jak chociażby ta, że park Staszica znajdował (i znajduje się) „na wprost ulicy Towarowej” (zamiast Tramwajowej). Ale to nic nie znaczące drobniactwa. Całość — najpiękniejsza książka, jaka się ostatnio o Łodzi ukazała!

Na zakończenie pretencja do Wydawnictwa Łódzkiego: czyż edycja tej pięknej książki nie można było wyposażyć w ilustracje, co zwiększyłoby jej atrakcyjność i zamieniło w rodzaj monograficznego albumu, którego brak przykro raz na tle, że tak powiem, licznych ostatnio bogato ilustrowanych monografi innych miast?



## Nasza szkoła

(dokończenie)

Czyli samochód jest „przedmiotem ponad stan” — nawet dla człowieka zarabiającego 6, 7 czy 8 tysięcy miesięcznie. Ale to nic. Zakładam, że zarabiam astronomiczną sumę 15 tysięcy złotych — ergo stać mnie na samochód.

Otóż, oświadczam, że nawet w tym stanie finansów nie kupiłbym takiego warczącego zwierzęcia. Wolalbym co miesiąc być wolnym od kłopotów, mycia blachy i remontów — posiadałbym trzy i półtysięcznego „zaskórniaka”.

Albowiem — że przypomnę — samochód służy do jednego tylko — do poruszania się z miejsca na miejsce. Śmiem twierdzić, że za te 3,5 tys. poruszałbym się z miejsca na miejsce dosyć wygodnie, tudzież wygospodarował jeszcze co nieco na inne frajdy, konsumowane w tych różnych miejscach, do których bym się poruszył.

Ponieważ, Moi Drodzy Uczniowie znają siłę nabywczą złotych polskich, nie mam co ich zapewniać, że za sumę tę, przeznaczoną wyłącznie na rozrywki miałbym i na taksówki i na wynajęcie — od czasu do czasu samochodu dla odbycia dalszej rajzy i na inne rzeczy, o których ja wiem, a które Wy rozumiecie.

Tymczasem człowiek zarabiający forsy rzędu 6 — 8 tysięcy miesięcznie, żyje sobie jak król, aż nagle opętuje go szal samochodowy, zadłuża się, wyprzedaje, karmi zakupami i... w ogóle (nie chce Was zbyt opisem tego rozkłiwiac).

Wiem. Nikogo nie przekonam. Nikogo nie odwiode od zgubnego zamysłu i dlatego nawet nie chce mi się wysilać na szeroką argumentację, błyskotliwie egzemplifikowaną.

Pragnę tylko byście wiedzieli, że SAMOCHODOPOSIADANIAMANIA jest to szal i to szal irracjonalny, piramidalny, bezprecedensjonalny.

Oczywiście i w tych krajach, w których dziś byle pętał kreci kierownicą równieź były okresy takiego szalu. Ale tam następował on wówczas, kiedy istniała po temu baza techniczno-ekonomiczna. To znaczy, kiedy produkcja i ceny samochodów miały się jakoś w realny sposób do zarobków. Kiedy ludzie sobie wykalkulowali, że ten luksus jest jakoś życiowo opłacalny. Ze sumą pożytku i przyjemności, płynących z takiego pudła z trabką, warta jest wyłożonych nań pieniędzy. Tak samo było z telewizorami, domkami za miastem itp.

Wniosek z tego płynie tedy taki: porzućmy irracjonalne szale narodowe. Życia trzeba używać rozumnie i także w nim kalkulować. Tj. in. jeździć sobie tramwajem, lub jeśli kogo stać — taksówkami, używać za ile się da i marzyć dowoli. Tylko dlaczego o samochodach? O samolotach!

Ja zaśie uroczyscie oświadczam, że nawet jak wygram milion w „Totó” — samochodu nie kupię. Natomiast chętnie pożyczę na ten sprawunek pieniądze wszystkim moim znajomym. Bo samochód to zła rzecz. Ale znajomi z samochodem — bardzo, bardzo a bardzo dobra rzecz.

Wasz antymotoryzowany

BELFER



## Wielka wojna ohocezych plastyków



Jak wiadomo, każdemu mieszkańcowi naszego miasta — w Łodzi, na placu Dąbrowskiego powstaje Teatr Narodowy. Powstaje od dosyć dawna, aż niektórzy, najbardziej zagorzali pesymiści ukuli stąd wniosek, że nigdy, on nie wyrosnie. A jednak, jak gdyby na przekór ich przewidywaniom — teatr poczyna przybierać coraz to bardziej realne kształty. Ostatnio wiadomym tego dowodem stała się... ale nie uprzedzajmy faktów. Tutaj bowiem potrzebny jest niedługi wywód filozoficzny.

Wszystko bierze swój początek z tego, że teatry zwykły mieć pewną ilość ścian. Wszystkie teatry, nie licząc oczywiście teatrów letnich, które egzystują na wolnym powietrzu. A więc od czasów swojej prehistorii aż po dzień dzisiejszy teatry, miewają ściany. Zdawać by się mogło, że ściana służy zaledwie po to, żeby podtrzymać dach. Ściany także pozwalają aktorom i widowni odgrodzić się od nieprzychylniej aury. Ściany zatrzymują ludzi, którzy nie wykupili biletów, ściany pozwalają wieszać w hallu estetyczne fotosy, dzięki ścianom istnieje w teatrze odpowiednia akustyka, itd.

Ba, ale na tym nie koniec. Ściany oddziaływają także swoim kolorem, stwarzają atmosferę odpowiednią dla przybytku sztuki. Wierście albo nie, pomagają one oddawać się kontemplacji. Co więcej, bywa, że ściany obdarzone są czarodziejską mocą. I nagle, ni stąd ni zowąd — stają one w centrum ogólnego zainteresowania. Tak się właśnie stało ze ścianami naszego Teatru Narodowego, chociaż go jeszcze nie ma.

Teatr powstaje dzięki ciału, które zwie się Zarząd Inwestycji. Ciało do szło do wniosku, że ściany znajdującego się w budowie teatru winny zostać pomalowane w estetyczne wzory. A może to projektodawca zlecił założenie sztukaterii, nie wiem. W każdym razie jedno nie ulega kwestii — zarządzone wystrój plastyczny wnętrza, i jak myślicie, komu powierzono opracowanie rzeczy, łodzianom? Nie. Zaproszono do udziału plastyków warszawskich, z tamtejszego -PSP. Dlaczego akurat warszawiaków, a nie na przykład prokocimian? Nie wiem. Może dlatego, że o plastykach z Prokocimia nikt jeszcze nie słyszał, a o warszawiakach coś niecoś wiadomo. Wiadomo między innymi, że spaskudził spory kawałek MDM-u, hotel „Warszawa” i wiele innych fragmentów stolicy. Ale nie o to chodzi, bo łodzianie też mają na sumieniu pewne grzechy, o których powszechnie wiadomo. Choćby wewnątrz kawiarni „Egzotycznej”, bohomyzy w budynku Prezydium Rady Narodowej itd. Słowem „wart paca pałaca, a pałac paca”. Stwierdzamy to z ubolewaniem, bo rzecz jasna — naszemu sercu łodzianie są o wiele, wiele bliżsi. Dlaczego jednak mają ciepłe ściany?

Zamiast więc angażować się drukowanym słowem w wielką wojnę naszych plastyków, pozwolę sobie zgłosić cichą propozycję. Zarząd Inwestycji! Organizuj konkurs ogólnopolski i oddaj ściany do malowania autorom najlepszego projektu. Choćby nawet przyjechali z Koziej Wólki!

Rysunek wykonał Stanisław Ibis-Gratkowski



Nudyści powrócili. O nudyściach mówi się i czyta, z nudyistów się kpi. Pasjonują opinię społeczną, z ich łański lekki chleb mają zamroczeni upałami dziennikarzy. Piszą więc o nudyściach gazety codzienne i czasopisma. Brak tylko fotografii. Te jednak zastąpione być mogą przez rysunkowy żart. Lecz proszę: nie zbywajmy nudyistów żartem. To problem.

Wejrzymy więc w problematykę nudyizmu, potraktujmy jak najbardziej serio zjazd i obrady, rozszereżmy terytorialnie i dynamicznie wielbicieli nagości.

Mylicie się, to nie jest śmieszna zabawa bogatych dziwaków. To smutny objaw wieku, ubierającego dwa miliardy ludzi w podobne uniformy. Któż z nas nie chciałby różnić się od swoich bliźnich? Nudyści chcą ocalić i zagwarantować swą inność. Być może zresztą, są wśród nich i dziwacy. Być może są też zwolennicy czystego piękna ludzkiego ciała. Zasada jednak jest chyba ta właśnie: ludzkość ubiera się u Christiana Diora. Miliard kobiet i miliard mężczyzn ubiera się (są ubierani) w magazynach epoki. My pozostajemy nudyści.

W ten sposób ocalamy zagrożoną indywidualność.

W Polsce nudyistów brak. Nic dziwnego. Kraj to bardzo biedny i każdego obywatela stać tutaj na gustowny garnitur z trzydziestoprocentowej wełny. Wspomnieć jednak wypada — a wspomnienie to dotyczy faktu sprzed lat wielu i przekazywane jest z ust do ust, z pokolenia na pokolenie — jednego z polskich obrońców zagrożonej indywidualności. Był to poeta, rzecz jasna. Jeden z futurystów, który na salę, gdzie miał się odbyć jego występ autorski, wkroczył nagi, jak ptak, jak poeta. I tak ocalił swą indywidualność, zagrożoną przez dwa miliardy ubranych obywateli tego świata. A przede wszystkim — zagrożoną przez stu poetów, którzy chodzili wówczas — a rzecz miała miejsce przed dwudziestu czy trzydziestu laty — w garniturach. Zapewne za poetą na salę wkroczyła policja. Wątpić więc należy, czy występ autorski doszedł do skutku. Tak czy inaczej, dzięki nagości ocalona została inność poety. Wywołany został szok. Poeta mógł już liczyć na niejaką popularność, na prawa i dyskusje. Nagość określiła go bez reszty. Był inny. Szedł więc w awangardzie epoki.

Awangardowi poeci dwudziestolecia międzywojennego cenili wysoko zasadę, która dziś łączy zwolenników nudyizmu. Wspomnijmy jeszcze zabawy surrealistów, ich makabryczne dowcipy, gorące uzołcia, którym obdarzali skandal i skandalistów. I oddajmy sprawiedliwość minioniej epoce, a także nagiemu poecie. Oczywiście, skandalowi towarzyszyły wówczas przemiany artystyczne i w gwałtownych reortach twórców kiełkowały nowe formy, nowe metody, nowe sposoby zapisu wiersza i myśli. Rozbicie tradycyjnego wzoru wersyfikacyjnego poematu było osiągnięciem artystycznym. Zlikwidowanie interpunkcji w wierszu, rozbicie układu graficznego i drukowanie jednego poematu różnymi rodzajami czcionki było nudyzmem, wynikało jedynie z chęci zaszokowania odbiorcy. Zaszokowania za wszelką cenę.

Podobnie w teatrze. Rozbicie konwencji teatru naturalistycznego, zburzenie czterech ścian ustawionych na scenie przez scenografa-tradycjonalistę i dokonanie przemian w akademickich formach sztuki aktora jest dzisiaj koniecznością artystyczną.

Nudyzmem są próby wprowadzenia na scenę bełkotliwego dialogu i próby likwidacji teatru, który od wieków służy pięciu palców autora dramy. Próby te, jak wiemy, należą do dna dzisiejszego. Więc problem nagego poety nie minął wraz z epoką?

Na pewno nie. Mechanika szoku nadal odgrywa ważną rolę w naszym życiu artystycznym. Cóż, że minęły czasy burzy i naporu, piękne lata Awangardy? Pozostali przecież ojcowie nowatorskich niedgys kierunków, pięćdziesięcioletni panowie z brzuszkami i z pretensjami do wieczonej młodości. I są ich uczniami. I ciągle jeszcze stopień obnażenia i stopień pogardy, okazywanej obyczajom, może stanowić o pozycji artysty w społeczeństwie. W społeczeństwie? Rzecz jasna w społeczeństwie artystów. To tam trwa młot awangardy i młot skandalu. To tam, raczej niż dzieło, liczy się skandal, efekt natychmiastowy, zaskoczenie czytelnika lub widza gestem bez pokrycia, czyli nagością. Tam nowość (i nagość) liczy sobie lat trzydzięści. A odbiorca, człowiek w uniformie, żyje, mimo wszystko, już w drugiej połowie wieku. Nie sądzę, by mogła go zadowolić podstarzała nagość. Nie czeka chyba na objawienie nowego skandalu w sztuce. Czeki, by mu powiedziano, dlaczego wybrał własny krój uniformu.



Zdjęcie z nowego polskiego filmu pt. „Wolne miasto”.

**TADEUSZ CHROSCIELEWSKI**

**Szarża kawalerii pod Kutnem**

„Indianie nie znali koni. Gdy więc uderzył konicą, osłabli...”

(Bernel Diaz — Zapiski z wyprawy Corteza)

Więc stanęła na Bzurą armia Totenków  
o twarzach w barwie wojny. Pióra rajszych ptaków  
drżą nad wodza rzeźbionym przez lunę obliczem.  
Kły schylonych oszczepów, glazy ciężkiej procy,  
miecze z łupku skalnego, wyniosłe księżycy,  
pięści bogów, kląb zwartych i gotowych mocy —  
przyczają się... Skoczyły i każda uderza  
w zeszyte ściegiem strachu kolumny Corteza...  
Pelźnie bój o szumiącą palmami Łęczyce.  
Naprawdę kusz baterie grzmia — w tył ani kroku.  
Cóż że miecze się łamią musnąwszy przyłbice!  
Aż tu błękit się zatrząsł od warkotu podków —  
Przybysz skinął i rzucił z obłoków konicę.

1958



**KAPRYSY KUPCA**

Michel Caliope, bogaty kupiec chilijski, zamierza odkupić od marynarki wojennej USA dwie łodzie podwodne, by pod wodą spędzić wakacje. Drugą łódź Caliope pragnie oddać do dyspozycji małżonce, ponieważ spędza ona z reguły wakacje oddzielnie.

**PERSPEKTYWY**

Przywódca kanadyjskiej opozycji politycznej, Lester Pearson, oznajmił w Ottawie, że na podstawie urzędowych danych USA wie, iż kraj ten rozporządza taką ilością materiałów rozszczepialnych, która pozwoliłaby na wyprodukowanie 30—40 tysięcy bomb atomowych typu bomb by zrzucanej w 1945 roku na Hiroszimę. Wschód i Zachód posiadają podobno już obecnie więcej bomb jądrowych niż jest to nawet potrzebne dla całkowitego unicestwienia życia na ziemi.

**TITO PO ARABSKU**

Przemówienia oraz artykuły prezydenta Tito zostały po raz pierwszy wydane w języku arabskim w Kairze.

**DÜRER I PODŁOGI**

Jedna ze spółdzielni produkcyjnych w Freibergu (Saksonia), wykonująca takie prace jak malowanie podłóg, ścian oraz ram okiennych, nosi nazwę: „Spółdzielnia produkcyjna imienia Albrechta Dürera”.

**INNOVACJA**

Po raz pierwszy od chwili wybuchu rewolucji październikowej — w Moskwie poja-

wili się uliczni sprzedawcy gazet.

**HANDEL MIĘDZYNARODOWY**

Policja w Meksyku wpadła na trop osób, które wywoziły tysiące monet 10-centawowych (odpowiada to 4 fenigom) do NRF, gdzie monety te używane były w automatach do gry.

**ZASŁONA Z JAZZU**

Minister obrony NRF, Straus, czyni wiele wysiłku, by jego armia wywierała wrażenie jak najbardziej dobrodusze i pokojowe. W wywiadzie udzielonym referentowi prasowemu niemieckiej federacji jazzowej oświadczył on, że zamierza popierać jazz w wojsku i że wkrótce poleci utworzyć reprezentacyjną orkiestrę jazzową Bundeswehry.

**PRETEST KLERYKÓW**

W Mediolanie wybudowano niedawno 31-piętrowy wieżowiec wysokości 141 metrów. W kołach klerykalnych postawienie tak wysokiej budowli wzbudziło pewne protesty — według niepisanej bowiem prawa żaden budynek w Mediolanie nie powinien sięgać wyżej niż figurka Matki Boskiej umieszczona na najwyższej wieżycy katedry (120 m).

**ENFANTE TERRIBLE**

Françoise Sagan, która przed kilku miesiącami poślubiła wydawcę Guy Schoellera, ma podobno już wkrótce wnieść do sądu podanie o rozwód.

**WINA I KARA**

Edward W. Rottschelt z Marshfield (Wisconsin, USA) został ukarany grzywną 50 dolarów oraz konfiskatą prawa jazdy — za to, iż pijany jechał ulicami miasta swoją zmotoryzowaną kostarką, tarasując całą jezdnię.

**SKUTKI PODATKÓW**

Dwóch właścicieli kin w Hamburgu zamknęło swe sale na znak protestu przeciw podwyższeniu podatku od seansów kinowych z 15 do 20 procent.

**POWÓD KRADZIEŻY**

Niejaki William P. Loudernik (Kalifornia, USA), aresztowany za kradzież auta, oświadczył: „Wziąłem wóz tylko po to, by odwieźć do domu koleżkę, który został właśnie wypuszczony z więzienia San Quentin”.

**ZAWODY**

Palace fajek mają obecnie swego mistrza. Został nim wybrany w czasie specjalnych zawodów, które odbyły się we Flint (Michigan, USA) 32-letni Richard E. Valley, który najdłużej wydmuchiwał błękitny dym (1 godzina, 34 minuty, 46 sekund). Jedyne żeński uczestnik zawodów, pani Kay Alderman, osiągnęła wynik dość skromny: 30 minut, 55 sekund. Zamierza ona teraz porzucić fajkę i powrócić do cygar.

**RANDKA**



**NA**



**BAŁUTACH**

Chcesz się umówić z dziewczyną na pół czarnej? Polecam kawiarnię Staromiejską — jak nazwa wskazuje — na Starym Mieście.

Chcesz „zażyć” zieleni, powietrza, i ładnej perspektywy? Z tarasu Staromiejskiej wszystko to zobaczysz. Przed tobą park. Miśde, zielone drzewka ocieniają ławki. Można się na nich całować, rozmawiać, odpoczywać, a nawet... spać. Z dala rysują się fasady starych kamienic, jak na bulwarach nadrzecznych. Słońce.

Chcesz ze swoją dziewczyną pospacerować nie znanymi uliczkami, które podnieciłyby twoją wyobraźnię? Proszę: najlepszy teren — Stare Miasto i Bałuty. Ciche ulice. Ciekawe ulice. Stare, czynszowe domy. Tu i tam pola ziemniaczane. Kozy na murawie przed szarą kamienicą. Drewniane budy. Gołębie. Nagle niespodzianka: nowe domy, jakby wyjęte wprost z pudełka, domy różnokolorowe, beżowe, pomarańczowe, niebieskie. I ulica — „nie z Łodzi”. Łagodnie półkolista, wpadająca w niewielki placik. Nagle: małeutki rynekcek, Łódzki Mariensztadt. Ludzie w oknach, jak w małym prowincjonalnym miasteczku. Ludzie przed domami, na ławkach, na murawie. Ludzie w ogrodach. Sąsiedzi grający w karty. Dziewczyna wpatrzona w pustą ulicę. Dzieci. Młodzi chłopcy w koszulach wypuszczonych na spodnie: nie groźni, przecienie, uprzedzając grzeszną, życiową. Wymuskany afonisk. On również oddarza nas przyjaznym spojrzeniem. Nie ma się czego bać. Nie. Chociaż zdarzy się i tutaj niejedna „rozróżba”. Nie przeprowadzałem wywiadu w komisariacie. Nie pytałem o nie znużonego milicjanta. Tylko jeden człowiek nie pozwolił się sfotografować. Był to właściciel wspaniałej Jawy. Bardzo mu się nie podobala nasza ciekawość. Nie wiem dlaczego. Był bardzo nieprzyjazny.

Zapewniam: nie ma innej dzielnicy w Łodzi, która by tak intrygowata jak Bałuty i Stare Miasto. Nie tylko dlatego, że historia spotyka się tutaj co krok ze współczesnością. O tej części miasta zawsze mówiono dobrze i źle. Ale zła sława jest trwałsza. Twoja dziewczyna się boi. Powiedz dziewczynie: nie bój się, nie ci się nie stanie. Ten ponury dom obok pomarańczowej kamienicy, to kartka z „Pamiętników bezrobotnych”: „Mieszkanie, które zajmuję, zrobione jest z pralni i ma 2 metry długości, 2 szerokości i posadzkę cementową. Trzecia część zarobków — gdy pracowałem — szła na ten grób...” „W mieszkaniach ciemnych, brudnych gnieźdzą się niekiedy po dwie, trzy rodziny... Choroby płucne, zwłaszcza zaś gruźlica mogą się tu rozwijać bez żadnych przeszkód...” Była to dawniej dzielnica drobnych kupców, rzemieślników nędzy, „limfatycznych dzieci”. Podczas wojny była to tragiczna dzielnica. Okupanci zagrodzili na Bałutach i Starym Mieście drutem kolczastym 200 tysięcy Żydów łódzkich, 40 tysięcy Żydów z innych miast polskich i około 20 tysięcy z zachodniej Europy. Niedaleko stąd, w Chelmie nad Nerem, znajdował się obóz śmierci, w którym ginęli ci, którzy mieli nadzieję przeżyć getto.

Spacerujecie po ulicach-pomnikach, odnajdujecie coraz to nowe wzruszenia. Spójrz! Oto rzeźba Tadeusza Kościuszki, wmontowana w stary dom, na wysokości pierwszego piętra. Stoi Kościuszko w sukmanie, nad nim żarówka. Nie strącił go hitlerowcy. Dom należał do tkacza — nawiasem mówiąc pochodzenia niemieckiego. Ow niemiecki Polak kazał wyrzeźbić Kościuszkę, powiadając potem przed okupantem, że to święty. Tematów nie braknie. Tajna drukarnia SDKPiL... prowokacje carskie...

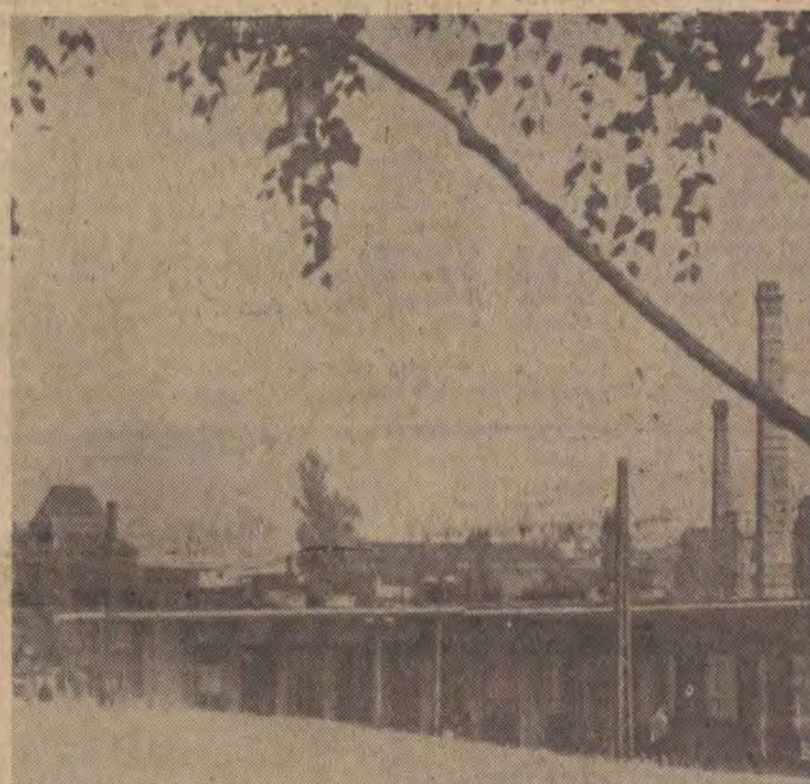
Czy to jest owe „cuchnące przedmieście”, na które został zepchnięty proletariats łódzki? Ta uliczka, żywcem wyjęta z albumu nowej Warszawy? Te drzewa stare, obejmujące ścianę nowego domu? W planie sześciolletnim obiecywano miastu 40 tysięcy nowych izb mieszkalnych. Na Bałutach i na Starym Mieście co krok spotyka się „nowe”...

Jesteśmy sami, więc przymykamy oczy na rażące usterki... wiemy, że są. Ale czy pamiętasz owego kelnera, który nie chciał nam podać wódki w niedzielę? A kolega mrugnął i powiedział: „Wzmocniona lemoniada”. I wódka była. Wszystko będzie, byle znać odpowiedni klucz...

Noc. W Staromiejskiej tańczymy. Życie jest o wiele bardziej skomplikowane, niż by się wydawało. Wrócimy tu jeszcze. Musimy wyciąć.







Tekst — TADEUSZ MARTYŃSKI  
Zdjęcia — WACŁAW BILIŃSKI



Rysunki: Jerzy Nowosielski

Z cyklu: Spotkanie wiedeńskie

# O PALINGENEZIE

Działo się to w stolicy naddunajskiej — uroczym, przytulnym mieście, dokąd podczas pierwszej wojny światowej przeniosła się znakomita większość inteligencji galicyjskiej. Sędziwa Vindobona przyjęła nas stonkunkowo gościnnie: nie poskąpiła nam garkuchni, ani groszowych zasilków, a miejscowe szkoły szeroko otwały swe podwoje dla uczącej się młodzieży.

Gimnazjum koedukacyjne, do którego uczęszczałem, leżało nieopodal Prateru. Nie więc dziwnego, że podczas nudnych wykładów matematyki czy też krajoznawstwa monarchii austro-węgierskiej chroniliśmy się — notabene w towarzystwie biálogłów — do „jądra gęstwiny” tego przeolbrzymiego parku, utrzymywanego z cesarskiej szkatuły.

Bywały jednak lekcje, na których nikomu z nas nie śniła się nawet eskapada do pobliskich rezerwatów przyrody, a na twarzach całej klasy VIII malował się nieklamany zachwyt i skupienie. Na katedrze siedział wówczas niepokażny człowieczek, o jasnej czuprynie, wiecznie zaróżowionych policzkach i dużych, gruboszklistych binoklach — nasz polonista, dr Holoberger. Wspaniały pedagog:

wychowawca i hipnotyzer w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Pamiętam jak dziś. Podparłem dłońmi czoło i przymknąłem oczy, wsłuchany w ozarodziejski komentarz do „Króla-Ducha”. Profesor mówił o wędrówce dusz — tak zwanej „palingenezie”.

Nagle w sąsiedniej ławce ktoś zachichotał. Spojrzałem z wyrzutem na koleżankę Olgę, ślicznotkę o zielonkawych oczach i ty-cjanowym włosie.

Nauczyciel przerwał wykład, poprawił binokle i zagadnął spokojnie:

— Olga, dlaczego się śmiejesz?

— Przepraszam pana profesora — usłyszeliśmy odpowiedź uczennicy, która niedawno „wkuwała” historię starożytną — ale przyśniło mi się, że dusza moja, przechodząc różne stadia palingenezy, znalazła się niegdyś w tułowiu Bucefala...

Nasz polonista uśmiechnął się łagodnie i zauważył:

— Ach, Olgo, Olgo — jakże jesteś zarozumiała! Czy sądzisz, że na to trzeba aż Aleksandra Wielkiego, aby ciebie okiełznać? Nie, to pierwszy lepszy dureń potrafi...

Za tydzień:  
„O senniku egipskim”



Panu dr inżynierowi Czesławowi Srebrzyńskiemu

Ja czytam was autorzy dzieł nienapisanych. Proza rąk, pleśni włosów i dramaty twarzy, Pointy warg, treny ramion wygięte w półkole Drgają we mnie, Zgarbieni przy tym samym stole Często prawdę podobną gotowi potwierdzić — Prawdę ust, prawdę ramion i nieprawdę śmierci Srebrne światło po stole na kolana spływa, Cóż że gwiazda, co świeci — świeci nieprawdziwa.



Dla kogo płoną na ofiarę Te pelargonie postarzałe? Chmur ciemne odsłaniają wody, Zachody słońca — wyszyc z mody? Jest nawet brzoza pochylona — Czeka tak biała i zielona, Jakby wierzyła, że przetrwamy — Jak dwie zrosnięte w jedną plamy.

Pejzaż współczesny

Nasze niebo

Marian (fragment poematu)

Ogromne, ciężkie jak bloki metalu Chmury się toczą i spadając błyszczą, Oślone słońcem, które je przekrawa Promieniem — długą piłą elektryczną.

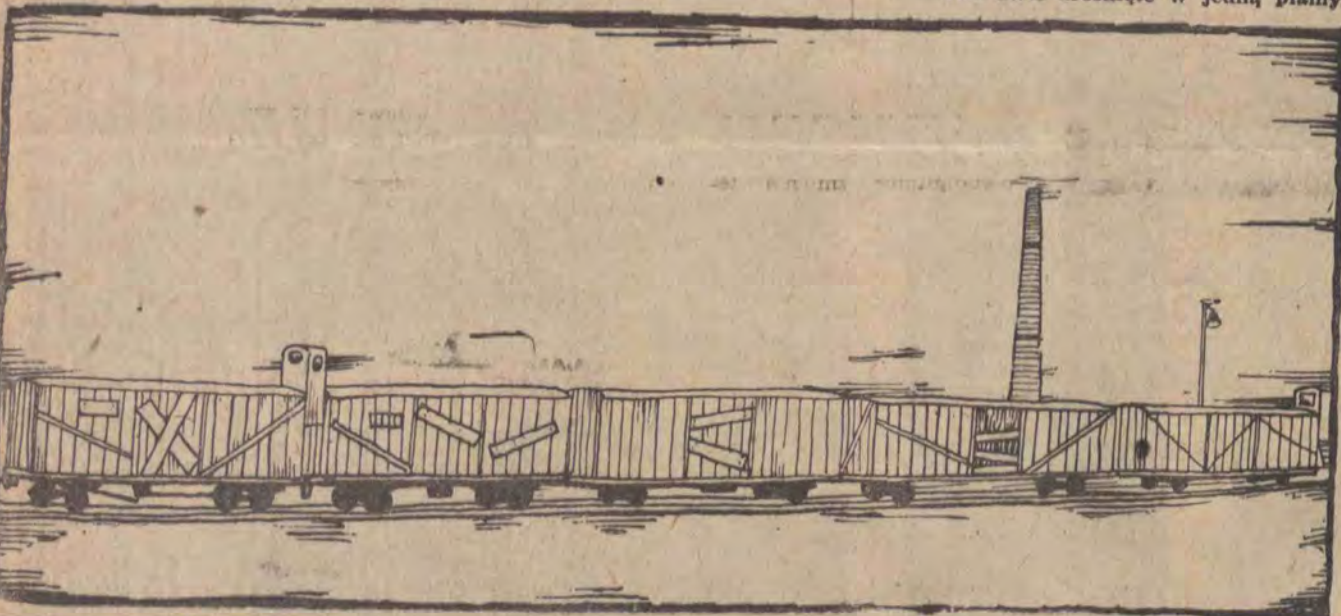
Na pierwszy skrawek nieba oczyszczony, Po długiej pracy i po ciężkiej walce, Gdy spojrzysz, oczy zakryć musisz dłonią, Choć blask ci ostry poprzecina palec.

Gdy pleń przydrożny chcesz połąć Na drzazgi, by ogień rozpalić Pod kuchnią i obiad gotować — Rzucaj na wózek siekierę, Łomy żelazne przygotuj: — Twardy jest pleńek dębowy, Wlery korzeniom, co czerpią Sok dla świętego już drzewa. Śpiew ptaka był piłą przelęty I gnazdo jego na ziemi Gałęzie nieużyteczne Zębatym liściem okryły. Na wózek fundament melodii! To drzewo z płakiem wyrosło I gnazdem ujęta gałąź Liściem zębatym porosła.



Milczy pod wodą w młastach nieodkrytych Czerwona, twarda społeczność korali Okręt kotwicę zarzucił przed świtem I noc szumiąca przylgęła do fall Chłnąc jej prężność i ścinając grzywy A ład odkryty czerniał niewłaściwy A kil okrętu jest podłużną gwiazdą Włoczną rybom i podwodnym młastom. Matrosom morze zapachniało domem Jest las zielony, wodorosty słone, Ryby rozpięte w powietrzu płetwami Słońce odbite od powierzchni morza — Korale milczą aż powstanie koral, Który przemówi: „W gwieździe ponad nami Kolomb zakuty dźwiży łańcuchami”.

Kolumb



# ZAKON BŁĘKITNYCH RYCERZY

(Dalszy ciąg ze str. 1)

jeszcze za Ciebie będę się modliła jutro w kościółku św. Trójcy, rano przed lekcjami. Sądzę, że Ci się powiedzie. Ja jutro na pierwszej lekcji odpowiadam z geometrii. Proszę Cię, pomódl się za mnie, gdyż jak nie odpowiem bę-dę miała na wywiadówkę 2.

Nie mogą dużo pisać, dzisiaj są takie lekcje, że się nie da. Piszę więc na przerwie, pół klasy stoi nade mną i czyta, nie mogę porządnie skupić myśli. Do jakiego zakonu wstępujesz? Nic nie rozumiem. Kocham Cię strasznie, a Ty nie

chcesz tego zrozumieć i ciągle muszę Cię tak prosić, abys ze mną poszedł do kina...

Otworzył kran, aby sprawić wrażenie, że się myje. Chlusnęła zimna, orzeźwiająca woda. Spozna cienkich drzwi dobiegł go złośliwy głos siostry.

— Mamo! On czyta liścik miłosny, widziałam przez dziurkę. Justyn jesteś zdrajcą! Szedłeś dziś z grubą Jadką! Renata się o tym dowi, o czym zawiadomia cię z poważaniem twoja siostra, hahaha, ha!

Nie dokończył listu. Wepchnął kartkę do kieszeni, głowę wsunął pod kran, natarł ręcznikiem i wrócił do pokoju. Siostra rozplatała warkocz przed lustrem. Z otwartego okna były duszne, niepokojące zapachy wiosny. Ślad przy stole, rozłożył błękitny papier listowy i napisał jednym tchem. „Od dzisiaj mogę Ci być tylko przyjacielem. To wszystko. Nie

wolno mi zaznać szczęścia osobistego dopóki nie wyschnie ostatnia iza w oku cierpiącego człowieka, dopóki nasze pokolenie przysięż wiosny nie przyniesie. Justyn”. Po załatwieniu tej najtrudniejszej w życiu sprawy, zabrał się do odrabiania lekcji.

Upał, popołudnie jest duszne, słońce wisł nad lesistym szczytem Biesaka. Pięciu rycerzy błękitnych maszeruje szosą na przedmieście. Prowadzi Miazga, znakomity piechur, zaprawiony w marszach. Bywa i tak, że w sobotę ruszy na rodzinną wieś, leżącą wzdłuż Puszczy Jodłowej, w dwie godziny odmierzy dwadzieścia kilometrów, a następnego dnia jest już z powrotem w mieście świeży, wypoczęty. Prawdziwy Radek.

Książę jeszcze raz przeliczył pieniądze.

— Równie dwadzieścia pięć złotych! Justyn, rzeknij, człowiecze, mądre słowo — wybulili ci coś za kórke?

— Guzik z pętelką! Swoją szosą, biedny ojciec, który ma takiego osła za syna.

— A co u pana słycać w kieszeni, panie Chorwat?

— Obiecał na pierwszego. Może pan Socjalista coś wydusił?

Książę skrzywił się nieznamnie.

— On naucza proletariatu za darmo, a my dla Baranowskiego nie mamy ani gronia.

Minęli kamieniołomy. W uszach

zadźwięczał niemły, pokrecony zgrzyt świrdrów. Skręcili w lewo, szli teraz piaszczystą drogą prosto w słońce. Przedmieście za kamieniołomami, to był inny świat. Skupisko drewnianych domków, bud krytych papa, gontem, dachówką, dyktą, poprzedzielanych ogródkami, uliczkami bez chodników, bez bruku, bez nazwy.

Dotarli na miejsce. U stóp piaszczystego wzgórza stała chałupa, ścieleca ze starych desek, poobijana zardzewiałą blachą. Lekki

cerze po raz pierwszy w dziejach zakonu ocierali iza w oku cierpiącego w ojczyźnie człowieka. Rozpoczął, z urzędem, Książę.

— Jesteśmy, proszę pana, członkami Zakonu Rycerzy Błękitnych. Bezrobotny podniósł wyblakłe oczy, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że stoi przed nim pięciu jednak ubranych sztabaków. Jego brudna, żylasta ręka kreśliła nadal kabalistyczne znaki w piasku.

— Naszym zadaniem jest niesienie pomocy biednym. Moralnej i materialnej. Stoimy na stanowisku łączenia zjawisk duchowych z materialnymi.

Blade oczy spoglądały teraz na Książę z pewnym zaciekawieniem. Pięciu rycerzy błękitnych stało bez ruchu. Justyn widział w lśniących guzikach paradnego mundurka Chorwata nierealny, zniekształcony obraz przedmieścia: wybrzuszony potwornie domki, splaszczony, pokraczny, śmieszny, kontrastowały zaskakująco z pierwszoplanową, chudą i nadmiernie wysoką, wygiętą w olbrzymi łuk postacią przewodniczącego zakonu — Książę.

— Zgodnie ze statutem, prosimy aby zachciał pan przyjąć od zakonu dwadzieścia pięć złotych i równocześnie uznać, że tego rodzaju działalność zbliża nas do wiosny ludzkości.

Książę wyciągnął z kieszeni pięć srebrnych, brzęczących monet pięciozłotowych. Bezrobotny wstał gwałtownie, odrzucił kij za siebie,



wiatr kruszył zeszlizoczone liście którymi obłożona była rezydencja od strony północnej. Zmlete, pokurczone liście, spadały pod brzozy, pokryte świeżą, wicenną zielenią. Właściciel rezydencji siedział na wielkim kamieniu i dukał kijem w piasku.

Otoczyli go półkolem, próbując przewyciężyć tremę. Błękitni ry-



## SKRZYWIONY OBRAZ POKOLENIA

Siedziałem w przytulnej, nadmorskiej kawiarni. Ktoś włożył kolejną płytę w blyszczące pudło adapteru. Niski głos Niemca śpiewał subtelnie recitativo: Ich geh allein durch dunkle Strasse... W sąsiednim domu przez otwarte okno krzyczał sprawozdawca radiowy: Kazimierski biegnie pierś w pierś z Courtneyem...

I wtedy weszli oni. Dwóch młodych chłopców i dwie dziewczyny. Jakże byli piękni! Chłopcy — opaleni na brąz, wysmukli i muskularni. Dziewczyna — o wdzięku nieoswojonych saren, długich nogach i piersiach jak duże twarde jabłka. Trzymali się za ręce, szczęśliwi w swej szlachetnej cielesności. Usiedli uśmiechnięci z niezgrabnymi gestami smarkaczy.

Wyobraźmy sobie, że dzieje się tak: położyli na stolikach plik gazet i aparaty fotograficzne, zdjęli ciemne okulary a jeden z chłopców otworzył Pismo Święte i prze czytał półgłosem dłuższy fragment. Dyskusja w atmosferze kulturalnej wyrozumiałości z całkowitym poszanowaniem stanowiska przeciwni-

ka. Klócili się z pasją i inteligencją, nie pogardzili engelsowską definicją i pismami Abelarda. Uzgodnili punkty widzenia i poglądy. A potem dyskusja nad „Faustem“ Goethego, esejami Camusa. Konwersacja w języku francuskim. Poprawienie błędów prononcjacji. Odczytanie prasy i miłość. Najpierw obowiązki, potem przyjemności. Więc miłość: spoglądanie w oczy i pieszcota dłoni. Gładzenie brązowych policzków dziewcząt. Milczenie i nieśmiałe szepty. Miłość.

Dość. Zostawmy naiwne utopie.

Siedziałem w przytulnej, nadmorskiej kawiarni. Ktoś położył kolejną płytę... Tak. Mój rozmówca ma kilka zmarszczek w kącikach oczu. Patrzy śmiałym, pewnym wzrokiem. Nie jest już młodzieńcem. O, nie jest już właściwie młodym człowiekiem.

A więc słucham. Termin stracone pokolenie — mówi — owe angielskie lost generation, którego twórcą jest, zdaje się Gertruda Stein („Wy wszyscy jesteście straconym pokoleniem“ — mot-

to do „Słońce też wschodzi“ — Hemingwaya) nie ma racji bytu u nas w tej chwili. Owszem — odnosiłoby się to może do zmarłych, ale tych zostawmy w spokoju. De mortuis aut bene aut nihil. Zaufajmy słowom Schillera, że umarli jadą szybko. Pochylimy głowy nad tymi, którzy oddali krew swej ziemi. Trzeba nam myśleć i mówić o żywych. Jest ich dużo i silnych i młodych. Jakże tu znaleźć termin krótki a syntetyczny i precyzyjny? W jakiej formule zmieścić pokolenie młodych Polaków? A więc pokolenie cyników? Może pokolenie darmozjadów? Panerotyzm? Typ sportowca? Typ bumelanta? Zostawmy uogólnienia i syntetyzmy. Naprzekór faktom — mówmy o faktach. Próbuje oponować: fakty są znane, stawiajmy diagnozy, wymierzajmy sprawiedliwość.

Uśmiecha się pobłaźliwie. Słucham — więc słucham. Fakty to rzecz uparta. Myślę przez chwilę, dokonując selekcji czy też komentując zamierzoną kolejność relacji. A oto fakty:

Jakieś półtora roku temu

wyświetlano w Polsce film produkcji niemieckiej o życiu cyrkowców. Była tam i trestura lwów i waltyżerka, był trójkać młody i sytuacje mrozące krew w żyłach. To wszystko zresztą nieważne. W filmie tym pokazano postać pocztowego głupca Jana. Silny a głupi olbrzym, nikomu nie niewinny i nie znaczący w schemacie fabuły, jest jednak postacią która: 1) ma wygląd absolutnego durnia, 2) jest niemową, 3) chce zgwałcić jedną z bohatererek filmu i wreszcie 4) przez swoją opieszałość i nieostrożność powoduje pożar w cyrku. To wszystko. Spotykam — proszę ciebie — na ulicy dwudziestotrzyletniego przyjaciela. Co słyhać? Wyobraź sobie — mówi — Niemcy znów z nami zaczynają. Widziałem film, w którym itd. i tutaj zaczyna wyliczać wszystkie złe cechy Jana — człowieka o polskim imieniu. O to mu idzie: dlaczego właśnie Jan? „Ja im pokazałem, ja w tej sprawie coś napiszę — zobaczysz!“ To wszystko. Nadrówność? Zapalczywość? Patriotyzm? Szowinizm? Przewrażliwienie? Głupota? Nie wiem. Ma 23 lata, pije, lubi kobiety, zdradza żonę.

Fakt drugi: Zaproszono mnie na zamkniętą projekcję pewnego filmu francuskiego. W czystej, ślicznie urządzonej salce zebrało się kilkanaście osób, młodych studentów czy nawet absolwentów spod znaku X muzy. Jeden z nich, nie zwracając uwagi na obecność kilku osób spoza koterii wygłupia się głośno, do granic ostatka eksploatując swoją beczelność słowną i mimiczną. Nagle z głupia frant odzywa się do spokojnej dziewczyny, siedzącej koło niego: Maryśku jeżeli chcesz, to będę cię podmacywał w czasie projekcji. Robi się przez moment cicho. Prestidigitator zmienia temat. Pod koniec filmu jest scena, w której przebiegły morderca chce zgwałcić młodą, naiwną dziewczynę. Szamotanina — ona broni się wyśmienicie. Nagle ów napaśujący rezygnuje, mówiąc coś krótko. Tekst polski brzmi: „Nie dam rady“. Męska część sali ryczy ze śmiechu, nie tylko zresztą męska, dziewczęta także trzęsą się od śmiechu.

Fakt trzeci: X sprzedał sztuczną szczękę swojej matki, żeby móc postawić kumpiom trochę wódki. X jest

ELŻBIETA ZECHENTER

## LUNATYK

W nocy przy pełni wyszedł sobie, jak zwykle na spacer w Księżyc Paszporty były zbyteczne, więc szedł po Drodze Mlecznej aż się zagapił wśród gwiazd zapomniał o wszystkim i pod pędzący Wielki Wóz wpadł.



Urządzili mu pogrzeb na Ziemi,

mówił dużo rozprawiali że okno było otwarte że trzęcie piętro ale o niczym nie wiedzieli naprawdę.

## C M Y

W lecie lecą w księżyc jak w świecę po nocnych drogach.

Cmy — zbuntowane motyle strącone do ciemności przez owadźlego boga!



hochszaplerem czystej wody. Często opowiada o swoich sukcesach finansowych, erotycznych, intelektualnych. X lubi dużo mówić. Niedawno spotkał grupę kolegów. Poszli do hotelu. Czterech młodych mężczyzn — dwie dziewczyny. Pokój był ma-

ły, wyjątkowo mały. Jedno łóżko, trzy krzesła. X i W. rzucili się bez mała na dwie dziewczyny. Te rozebrały się bez żenady, zrobiły to także onej dwaj. Ich koledy. o zainteresowaniach artystycznych.

(Dokończenie na str. 8)



Fot. A. Kondratjuk

Pieniądze przesyłały się do brudnej dłoni.

— Więcej nie macie?

Książę zdziwił się.

— Statut nasz przewiduje taką właśnie kwotę. Zapoznamy teraz pana z manifestem zakonu.

Bezrobotny otworzył usta, przeczekał pieniądze z ręki do ręki. Miazga rozwinął mały rulonik pergaminowego papieru, na którym bajecznie kolorowymi tuszami wypisał Justyn piękny gotykiem treść manifestu.

Wybiec duchem ponad duchy,

Z serca zrzucić win łańcuchy,

I wzniesić myśl, by długotrwała

Władnie światu królowała!

Oto szczyty! Świetne szczyty!

Naszych młodych serc granity!

Justyn wygrzebał ten wiersz w piśmie lwowskich kadetów, ale podał jako swój oryginalny utwór, przez co powiększył grono uznanych ogólnoszkolnych poetów.

Głos Miazgi zabrzmiał tak donośnie, że zaczęli się schodzić ludzie. Przystawali w pewnej odległości i przyglądali się ciekawie uroczystości. Bezrobotny rozjeździł się niespokojnie dookoła, przelicył raz jeszcze pieniądze i pobiegł w stronę rezydencji. W czasie biegu schylił się zgrabnie i podniósł z ziemi porzucony kij.

Przygodnie zebrani ludzie podchodzili bliżej.

— Patrzcie państwo — odezwał się ktoś — temu moczomordzie dali pieniądze!

— Słyszałem o jednym takim, jak umarł zapisał ciężkie mi-

łony tym, którym brakowało po kilka złotych do drugiego miliona.

— A może by panowie studenci i nam coś przeczytali i do rączek włożyli?

Chorwat ocierał pot z czoła.

Miazga rozluźnił kołnierzyk. Rozwinął manifest zakonu trzymał wciąż w dłoni. Książę poderwał się pierwszy do szybkiego biegu. Ruszył gęsiego za nim. W miarę, jak zbliżali się do lasu brnął przez gęsty piasek — miasto pozostało w tyle. Zza obnażonego kilofami wzgórze wychylała się masywna bryła katedry, dzwonnica obok cztery smukłe wieżyczki dawnego zamku biskupów.

Upał nie słabł ani na chwilę, spoceni biegli coraz wolniej w

wie, spoglądali poprzez delikatne gałązki pachnących sosen na czyste niebo.

— Czemu on tak nagle uciekł, bał się, że mu forse odbiorą czy jak? — Justyn wsparł głowę na łokciu.

— Świadomość proletariatu, bracie, niska jest, niedza nie zawsze usposabia towarzysko. — Socjalista zabierał się już do dłuższego wykładu, ale Książę przerwał mu.

— Nie bądź taki Marks, nie mają chłopakowi w głowie, jesteśmy w zakonie, a nie w pepeesie. Arystokracja ducha była, jest i będzie. Ciemnota też, bieda i bogactwo też, na tej podstawie możliwy jest rozwój świata, Równość oznacza bezruch świata, śmierć.

— Ciekawe, ciekawe — Miazga przymrużył zldziwie oczy — mówisz, że arystokracja i niedza są dane przez aniołków. Dlaczego w takim razie, ja, chłopski syn, nie-bogaty, robię maturę i piszę wiersze znacznie lepsze, niż ty, syn książęcy?

Justyn podniósł się i usiadł po-turecku.

— Ciekawe — powtórzył za Miazgą.

— To jest zwykłe krążenie elit. — Książę uśmiechał się pobłaźli-wie. — Pareto doskonale wytłumaczył tę rzecz, arystokracja odświeża w ten sposób krew.

— Wygluplando maximo goso — przerwał dyskusję Chorwat — zajarzcie sobie — w jego wypowiedzianej ręce zabłysła srebrna papierosnica, Brałi kolej-

rozżarzone słońce. Dobrze! wreszcie do gęstego zagajnika, rozłożyli się w cieniu, na chłodnej tra-



no wonne „Egipskie“. Po chwili blady, siwy dymek unosił się ponad młodziutką sośniną.

Od strony basenu kąpielowego doleciała muzyka, Lucyna Szczepańska, słynny słowik Warszawy, śpiewała piosenkę o rozstaniu. Nastroj zmieniał się raptownie. Wraz z rzewną melodią napłynęła fala osobistych refleksji.

— Zerwałeś już z Renatką?

— Miazga zwrócił się niespodziewanie do Justyna. — Rycerz błękitny nie może zaznawać szczęścia osobistego. — Justyn był zaskoczony pytaniem, czuł wyraźnie na sobie wzrok kolegów.

— Ma się rozumieć — mruknął nieprzekonywująco — a co u ciebie?

— Jakoś to załatwiłem. Rozdzierająca scena, panowie, kobieta nie chce stracić żadnego adoratora, cóż dopiero kochanka i awangardowego poeta.

Przymrużył oczy, pograżył się gdzieś w wysokim niebie.

— Przez tydzień jeden byłaś moją żoną i tylko przez noc jedną — zadeklamował.

— Pół miasta będzie po was plakać — zauważył ironicznie Socjalista.

Książę drgnął niespokojnie, popatrzył w niebo, unikając spojrzeń kolegów. Chorwat zaśmiał się sztywno, rienaturalnie.

— Skoro, jeżeli u każdego z nas causa finita, to nie ma żadnej idei wybierać się na wieczorek do Jaszczołtów. Nicht war?

— Precz z kobietami! — okrzyk Justyna urwany w połowie zabrzmiał fałszywie, drętwo, Miazga zakrzęcił się dymem z papierosa. Nie mieli sobie już nic więcej do powiedzenia. Każdy z rycerzy wypowiedział się solidarnie za celibatem, przeciw osobistemu szczęściu, teraz tylko już w duchu protestował przeciw tej smutnej rzeczywistości.

Książę zerwał się nagle.

— No, panowie, lecimy na basen okapać się trochę! Kto pierwszy, ten lepszy!

Popędzili alejkami leśnego parku, nazywanego „Stadionem“.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

(Dokończenie w num. następnym)

odgłosy str. 7



# POCZĄTEK I KONIEC „WIELKIEJ DROGI CESARSTWA” Część XVIII

OSCAR LINDAY

Tajniki wywiadów,  
gabinetów i wydarzeń  
XX wieku

## PACYFIK WOLNY!

Jeszcze jeden rekordowy desant. — Zdobycie Bataanu. — Opanowanie Filipin. — Superfortece nad Tokyo. — Generałowie czekają na cud. — Harakiri na Iwo-Jimie.

Jeszcze jeden rekord desantowy! 82 dni po inwazji na Leyte w Zatoce Linguayen na wyspie Luzon, 9 stycznia 1947 r. między godziną 9.30 a 10, ląduje 7 dywizji amerykańskich w sile 118 tysięcy ludzi, umacniając się natychmiast na froncie 110 kilometrów. Opuszczając w marcu 1942 r. bohatersko walczący Bataan, powiedział Mac Arthur: „Ja tu jeszcze wrócę”. I wrócił. Jego powrót przeszedł do historii II Wojny Światowej jako najsprawniejsza i z największym rozmachem przeprowadzona operacja desantowa.

Dowódca 150-tysięcznego garnizonu japońskiego na Luzonie, generał Tomoyuki Amoshiba od pierwszej chwili znalazł się w równie krytycznej sytuacji, jak jego obecny przeciwnik, Mac Arthur, w grudniu 1941 r. Każda próba stabilizacji frontu niweczona była dodatkowymi lądowaniami i atakami spadochroniarzy, które Amerykanie nazywali „tątką skoku przez barana”. Amoshiba postanawia skoncentrować obronę na półwyspie Bataan i w twierdzy Corregidor — wypróbowanej strefie obrony gen. Wainwrighta. Ale to już nie jest ta technika wojenna, którą przed czterema laty gen. Yamashita mógł przeciwstawić „Bękartom Bataan”. Najcięższe bomby z superfortec B-29 miażdżą fortyfikacje Bataanu i Corregidora. Dywizje pancerne nie przerywając marszu zdobywają Bataan, a spadochroniarze w brawurowym ataku z powietrza opanowują Corregidor.

Równocześnie Amerykanie atakują pozostałe, bardzo liczne wyspy Archipelagu Filipin. W sukurs lądującym oddziałom przychodzą partyzanci filipińscy, rozprawiając się bezwzględnie z roz-

proszonymi w dżungli niedobitkami armii cesarskiej.

Dzień 15 kwietnia jest oficjalną datą całkowitego opanowania Filipin. W tej potężnej lądowo-morskiej operacji brało udział gros amerykańskich sił na Pacyfiku — ponad dwa miliony ludzi.

Suma strat japońskich na Filipinach przekracza 220 tysięcy zabitych, to jest więcej, niż od Pearl Harbor do amerykańskiego lądowania na Leyte.

W tym czasie w Niemczech radzieckie dywizje zbliżają się do Berlina, a alianci zachodni po przekroczeniu Renu szybko posuwają się w głąb Niemiec. Ale na Pacyfiku wojna dopiero decyduje o granic Japonii.

Ataków lotniczych, jakim podany został japoński przemysł z końcem 1944 r., nie zasnęły Niemcy przez całą wojnę. Problem dużych odległości rozwiązany został w konstrukcji „latającej superfortecy”, bombowca „Boeing” typ B-29. Ten powietrzny kolos, nazywany „Triumfem Pacyfiku” posiadał w locie 50 ton wagi. Rozpiętość jego skrzydeł wynosiła 43 metry, a długość 30 metrów. Cztery silniki o łącznej sile 8 tysięcy KM pozwalały mu na rozwijanie szybkości w granicach 450 kilometrów na godzinę oraz osiągnięcie pułapu zabezpieczającego przed ogniem artylerii przeciwniczej. Zasięg 5 tysięcy kilometrów w jedną stronę pozwalał mu na dotarcie do każdego punktu na macierzystych wyspach japońskich, a silne opancerzenie i sześć czterolufowych sprężonych działek szybkostrzelnych czyniło go groźnym przeciwnikiem dla nieprzyjacielskich myśliwców.

Pierwsze formacje superfortec rozpoczęły działania w połowie lipca 1944 r. z baz w Chinach, które po oswojeniu „Drogi Birmańskiej” korzystały znów ze stałego zaopatrzenia przez Indie. Po rewelacyjnych rezultatach działania nowych bombowców, rozpoczęto ich masową produkcję. B-29 zabierały na pokład ponad dwukrotnie większy ładunek niż „Liberatory”, a straty ponoszone w nalotach były prawie trzykrotnie niższe od przeciętnych strat zadawanych innym formacjom bombowców amerykańskich. Wkrótce nowe formacje superfortec rozpoczęły działania z baz na Marianach (Guam i Saipan), a potem z Filipin. Tysiące ton „ognistej galarety” runęło z nieba na miasta japońskie, przemieniając je systematycznie w dymiące zgłiszcz. W czasie jednego tylko nalotu na Tokyo, 10 marca 1945 r., 300 superfortec spowodowało śmierć blisko 80 tysięcy ludzi, a dwa miliony mieszkańców pozabawionych zostało dachu nad głową. Bomby trafiły w pałac cesarski, który stanął w ogniu.

Do kraju wschodzącego słońca zapukała groza. Szereg wybitnych osobistości widząc w dalszym kontynuowaniu wojny zagładę kraju, sprzeniewierzyło się świętej idei „Wielkiej Drogi Cesarstwa”, otwarcie nawołując do rozpuszczenia rokowań z aliantami. Zmuszono ich jednak do spełnienia harakiri. Militarizm japoński nie chciał kapitulować. Wierzył w cud. Generałom nie mieściło się w głowie, aby dwutysięcletnie cesarstwo mogła spotkać klęska.

Armia amerykańska krok za krokiem zbliżała się do macierzystych wysp japońskich. W tym pochodzie krwawym śladem uwieczniła się mała, na ogół nie oznaczana na mapach, wulkaniczna wysypka w archipelagu Kazan-Iwo-Jima, leżąca 1200 km na południe od Tokyo, na połowie drogi między Tokyo a Saipnem. Była to już ostatnia wysunięta baza japońska na Pacyfiku.

W połowie lutego 1945 r. V Flo-

ta amerykańska podpływa do wyspy i otwiera ogień. Przedtem „Liberatory” zrzucają kilka tysięcy bomb. Wyspa jest tak mała, że dowództwo japońskie nie może się zdecydować na taktykę „elastycznej obrony”. Postanawia nie dopuścić do lądowania za wszelką cenę. 16 lutego rusza na odsiecz flota i zaskakuje eskadrę amerykańską w chwili, gdy ponad setka transportowców szykuje się do wysadzenia desantu. Atak jest niespodziewany. Z lotniskowców japońskich znów startują samobójcy „Kamikaze”. Jeden amerykański lotniskowiec, dwa pancerniki i dwa krążowniki idą na dno. Straty są większe niż w trzydniowej bitwie pod Filipinami, ale samobójcza desperacja lotników śmierci nie może zrównoważyć potwornej przewagi sprzętu. Flota japońska zostaje odparta.

19 lutego następuje pierwsze lądowanie i tonie we krwi żołnierzy piechoty morskiej. Śmiertelny rekord Tarawy zostaje pobity. Na wazutkiej plaży Iwo-Jimy w czasie pierwszych godzin lądowania pada trupem trzy tysiące Amerykanów. Pomimo to przyczółek zostaje uchwycony. Fortyfikacje Iwo-Jimy nigdzie dotąd nie miały równych sobie. Przeciętnie w kwadracie 1000 x 1000 metrów znajdowało się do dwóch tysięcy różnej klasy stanowisk ogniowych, przeważnie betonowych bunkrów i wkopanych czołgów.

21 lutego japoński dowódca na Iwo-Jimie, generał Kuibayashi oświadcza w transmisji radiowej przez Tokyo: „Cesarstwo patrzy na nas. Iwo-Jimy bronić będziemy do ostatniej kropli krwi”. Te słowa mają wagę. Bohaterstwo, heroizm, poświęcenie, rozumieją się w Japonii same przez się. Nie muszą być podkreślane. Gdy się je podkreśla, chodzi o zaakcentowanie szczególnego nasilenia tych cech. Nawet w kraju lotników-samobójców i żywych torped!

Wolno sączą się krople japońskiej krwi na Iwo-Jimie. Krew jest gęsta, płynnie nieugięta dla cesarza-boga, płynnie nieugięta wiara w nagrodę po śmierci.

Yankesi idą naprzód krok za krokiem — 100 metrów dziennie! Pali się japońska krew zmieszana z płynem miotaczy płomieni. Zrasza hojnie odłamki tysięcy pocisków z raketowych moździerzy, setki ton bomb z nurkujących samolotów. 26 dni, w dzień i w noc, w heroicznych, prawie samobójczych kontratakach płynie japońska krew. 16 marca ostatni japoński oficer wyrzuca ostatni granat i przecina sobie brzuch. Żołnierze amerykańscy wpadają do bunkra. Konający Japończyk podtrzymuje ręką rozprute wnętrze i strzela z pistoletu. Ginie rozerwany amerykańskim granatem. Tak spłynęła ostatnia kropla japońskiej krwi na Iwo-Jimie. Ostatnia kropla krwi 21.323 japońskich obrońców. Nie wzięto ani jednego jeńca, zdrowego czy ranego.

Amerykanie stracili w tej najkrwawszej bitwie 5 tysięcy zabitych i ponad 15 tysięcy rannych. Tylko wysokiemu poziomowi amerykańskiej służby sanitarnej, której samoloty bezustannie przewoziły rannych na lotniskowce, a stamtąd do doskonale wyposażonych szpitali, można zawdzięczać, że przynajmniej połowa rannych nie znalazła się na liście poległych.

Wysępka Iwo-Jima miała 9 km długości i niecałe 2 km szerokości.

Tym ogromnym kosztem bazy superfortec przesuwają się 1400 kilometrów do przodu. Teraz bombowce B-29 mogą kursować ze swym śmiertelnością ładunkiem dwa razy na dobę. Dzień i noc Japonia staje w ogniu. 25 marca 1945 r. wyrusza ostatnia potężna ekspedycja. 50 lotniskowców, 170 okrętów wojennych, 1300 transportowców i dużych statków desantowych, milion żołnierzy.

27 marca radio tokijskie komunikuje: „Na wodach Okinawy rozpoczęła się potężna bitwa powietrzno-morska. Bohaterscy lotnicy z eskadr „Kamikaze” (Kamikaze), przed którymi cały kraj chyłł czoła, zadają wrogowi śmiertelne straty. Nic nie zdoła złamać naszej woli zwycięstwa”.

Rozpoczął się ostatni akt II Wojny Światowej: bitwa o Okinawę.

Za tydzień:

## Krwawe żniwa na Okinawie

## Skrzywiony obraz

(Dokończenie ze str. 7)

nych, zająwszy miejsca na krzesłach koło łóżka, w o-wym ciemnym pokoju — a jednak, jakby w innym zupełnie wymiarze czasowym i przestrzennym — prowadzili rzeczową dyskusję na temat walorów artystycznych La Strady. Kiedy skończyła się frajda na łóżku, jeden z nich — gospodarz tego wynajętego lożum — wstąpił takiego diction rezolutnej i ujmującej swoją szerokością dziewczyny: — Przepraszam bardzo pana za nieład jaki zostawiliśmy, ale ten pokój jest tak mały. — O, to głupstwo — odpowiedział inteligentny dyskutant.

Mój rozmówca już kończy. Zastrzegam się, że być może jest naiwny, że fakty, które opowiedział nie wartę są zachodów myślowych. A jednak... Jeżeli dwa ostatnie fakty to cienie, a cień istnieje po to także, aby zaświadczać o świetle, to trzeba zobaczyć owe, niekoniecznie oślepiające światło, Ci wszyscy młodzi ludzie, niejednokrotnie blakający się w ciemnych uliczkach moralności, wpatrzeni w fałszywy wz-



rzec życia nie zasługują jednak chyba na miano pokoleń niemocy, stracone pokolenie. Przynajmniej ta nazwa nie przystaje do wszystkich. A więc była tu mowa o fragmentach skrzywionego obrazu pokolenia. Czyżby? Kto szuka panaceum na młódzież, ten myli się, ten być może błądzi. Takie panaceum jest mitem. Istnieje cały szereg norm psychicznych i schematów postępowania narzuconych nam przez jakiegoś ostatniego dwadzieścia lat. A więc jednak historia jest mistrzynią życia. Do niej także możemy mieć pretensje.

## Moravia na indeksie

Człowiek ogólny powiedziałby, że jest to jakaś ironia losu, zaś sztyderca nazwałby to po prostu kpiniami ze zdrowego rozsądku: najwybitniejszy powieściopisarz włoski, znany polskiemu czytelnikowi z tomu świętych opowiadań „Opowieści rzymskie” Alberto Moravia i jak pisał prasa wszystkich języków świata — prawdopodobnie najbliższy kandydat do nagrody Nobla — znalazł się na watykańskim indeksie książek zakazanych! Gorzkiej pikantem dodaje omarwanemu zjawisku znane kulturalnej ludzkości prześladowanie, jakim podlegał Moravia ze strony faszystów włoskich. Słusznie też reporter francuskiego tygodnika „Arts” nazywa tego wielkiego pisarza ofiarą wszystkich cenzur.

Ale posłuchajmy, co mówi na ten temat sam Moravia w wywiadzie udzielonym wspomnianemu tygodnikowi: „Umieszczenie na indeksie to właściwie nie cenzura, przynajmniej — we Włoszech. Watykan to jedna strona, Italia — druga, są to dwa oddzielne, separowane państwa. Gdyby jednak Watykan do-

szedł do władzy tak, jak w Irlandii i w Hiszpanii, wówczas sprawa mogłaby być dla literatury groźna!”

Warto zastanowić się nad słowami wielkiego pisarza włoskiego ludzom zamieszującym kraj, gdzie przystępujący do generalnej ofensywy pod hasłem nietolerancji Kościół oświadcza przez usta swych czestochowskich propagandystów, że do roku 1966 nie będzie w Polsce (oprócz partyjnych) nikogo, kto odważyłby się nie uprawiać praktyk religijnych, a wszyscy kalwin, lutrowie oraz inni „heretycy” zostaną „nawróceni”.

I pomyśleć, że takie „hasła” głosi się w roku 1958 a biedni ateusze otrząsają się ze zdumienia nie mogąc się rozeznąć, w jakich czasach żyją. Czyżby jakaś fantastyczna rakietą nowego typu w rodzaju Sputnika lub Vanguarda nie przeniosła ich w ponurą i ciemną przeszłość, noc Saska XVIII wieku lub jeszcze dalej — w XVII wiek pod panowanie dewoty Zygmunta III i jego ojców jezuitów z fanatycznym księdzem Skargą na czele!

Wróćmy jednak do Alberto Mo-

raui, jednego z wielkich mistrzów współczesnej prozy włoskiej! Urodził się on w 1907 roku w ubogiej rodzinie. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Alberto Pincherle. Moravia to pseudonim. W dziewiątym roku życia zagrożony gruźlicą kości, został umieszczony w sanatorium, gdzie przebywał do 17 roku życia. Mając lat 22 zadebiutował powieścią „Obojętni”, która mu od razu przyniosła sławę i ściągnęła gniew Mussoliniego. Po wyjeździe z Włoch wydał szereg powieści: „Piękne życie”, „Zwiedziona ambicja”, „Bal maskowy”, i inne.

W Polsce znany jest ze wspomnianego tomu nowel „Opowieści rzymskie”, w którym w przejmujący sposób opisuje dolę i niedolę mieszkańców Rzymu, prostych ludzi, fruzjerów, kelnerów, stenotypistek, szoferów.

Szlachetny, humanitarny ton dźwięczący w każdym z opowiadań przypomina w prostocie i precyzji opisu najlepsze nowele wielkiego mistrza małych form — Antoniego Czechowa.

ARYSTARCH



str. 8 odgłosy

NA PRZY STANKU







Byłem bezgranicznie szczęśliwy, że widzę przed sobą żywego, choć równocześnie przerażała mnie jego bladłość i osłabienie. Wyglądał jak trup.

— Serce — szepnął — serce mam poważnie uszkodzone. W tych berlach są pewnie silne baterie z elektrycznością. Cały taki ładunek uderzył w moje serce.

— O Boże! — krzyknąłem. — Co czynić? Przypomnij sobie, jaki jest na to ratunek. Przecież musi być jakiś ratunek! Błagam cię... Ja przyniosę wszystkie twe dzieła lekarskie, wszystkie instrumenty...

Oto namyślał się chwilę i znów zmarszczył chmurnie swoje ciemne, gęste brwi.

— Można byłoby poprobać — szepnął wreszcie. — Trzeba serce wymienić. Mam w ambulatorium kilka serc zapasowych i są odpowiednie aparaty, ale ty się na tym nie znasz, nie zdołasz tej operacji dokonać.

— Dlaczego nie zdołam? — krzyknąłem. — Przecież tam odpowiednie wskazówki, a ty mną pokierujesz, nauczysz mnie. Musimy poprobać!

Oto uśmiechnął się z powątpiewaniem.

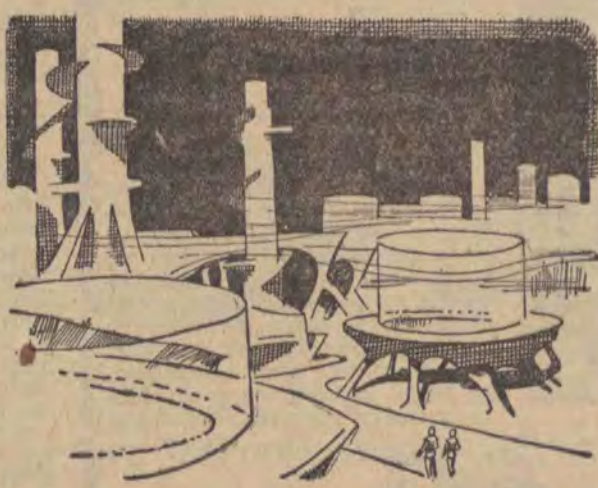
— Dobrze — szepnął — spróbujemy. Przedtem jednak puść magnetofon, aby było sprawozdanie dla Ziemi. W ogólnych zarysach powiem ci, co się z nami działo.

— Może przedtem dokonamy tej operacji? — zawolałem.

— Nie — zaprzeczył. ruchem głowy — możemy nie zdążyć. Trzeba się śpieszyć.

\*\*\*

Uczyniłem jak kazał. Podałem mu odpowiednie



lekarstwa, napolilem go czarną kawą z winem, zrobiłem zastrzyk. Poczuił się trochę silniejszy. Usiadłem obok niego.

— Ale co z załogą? Co z naszymi ludźmi? — zapytałem.

Uspokoił mnie delikatnym ruchem ręki. — Zaraz się o tym dowiesz.

„Czarny, podobny do gąsienicy samolot marsyjski wylądował w dolinie, która na naszych mapach Marsa nazywa się doliną Piązi. Jakkolwiek samolot leciał ruchem falistym, jednak żadnych wstrząsów nie odczuwało się. Kierowała nim pszczoła-pilot, a oprócz niej wewnątrz znajdowały się dwie inne.

Samolot podleciał do podnóża ponurych, poszarpanych skał. Nigdzie najmniejszego śladu życia. Wtem skały się rozwarły (jak w bajce o Ali-Babie i czterdziestu rozbójnikach) — i pojazd nasz wjechał do środka. Kilka pszczoł widocznie nas witało, bo wykonywały ruchy podobne do ukłonów. Jedną z nich delikatnie sięgnęła do mej kieszeni i zgrabnie wyjęła pióro, które zaraz oddała jakiejś innej pszczołce, a ta gdzieś zniknęła...

Byliśmy w skafandrach z przymocowanymi hełmami. Stwierdziłem, że tlen w tych podziemnych nie było. Temperatura wynosiła około zera. Panował gęsty półmrok. Było co prawda jakieś martwe fluoryzujące światło, ale bardzo słabe.

Wsiadliśmy do jakiegoś podłużnego, ciemnobrązowego, podobnego do długich sani — wehikułu. Towarzyszyło nam kilka pszczoł. Wszystko odbywało się w kompletnej ciszy. Tylko w skafandrach słyszeliśmy wzajemnie swoje głosy.



Bez najmniejszych wstrząsów, jakoś niezauważalnie, tak jakbyśmy stali w jednym miejscu, pomknęliśmy w dół mrocznym tunelem. Od czasu do czasu mijaliśmy jakieś błędne niebieskie światełka.

Po godzinie tej szybkiej jazdy przyjechaliśmy do jakiegoś prawie zupełnie ciemnego miasta. Jak się później dowiedziałem, była to stolica Marsa — Melita.

Były tam długie ulice i okrągłe, dziesięciopiętrowe domy, wszystkie do siebie podobne, z jednym, przeważnie dość dużym wejściem i zupełnie pozbawione okien. Domy te nie posiadały również dachów. Przypominały nieco nasze wielkie puste zbiorniki na gaz świetlny lub kopce grobowe, jakie znaleźliśmy na górze. Tu i ówdzie kłębiły się pszczoły, spokojnie przechodzące przez ulice. Na ulicach tych nie było widać żadnych pojazdów. Pszczoły gromadziły się również przed domami, niektóre stały w obszernych bramach. Były one zupełnie nieruchome i zrobiły na mnie wrażenie martwych. Bardzo możliwe, że spały. Tłenu w tym mieście również nie było i zachodziłem w głowę, czym te pszczoły oddychają. Temperatura była niska — cztery stopnie powyżej zera. O ile wiem, nasze ziemskie pszczoły w takiej temperaturze nie mogą egzystować.

Ulice te, domy i pszczoły ledwie majaczyły w półmroku. W oddali zarysowywały się niewyraźne kontury jakichś innych, olbrzymich, gmachów, były tam również, jak się zdaje, duże place, ale to wszystko ginęło w ciemności.

(d. c. n.)

## ROZMAŁOŚCI staropolskie

Nasi prapradziadkowie, a zwłaszcza nasze praprababki wstępowały wcześniej w związki małżeńskie. Panna wychodziła za mąż w czternastym, a nieraz w dwunastym roku życia. Nie dziwnego więc, że w żartobliwym „pacierzu panińskim” dziewczyna wznosiła modły do Boga, „abym z dobrym dobytkiem siedmiu (mężów) pochowała”.

Jedną z prób w tym pacierzu dotyczy męża: „Niech nie chodzi rwać ziela na cudze ogrody”. Chodził jednak rwać, szelma!

Do połowy XVII wieku wypadki zdrady małżeńskiej nie były nagminne. Pożycia w małżeństwie układało się raczej normalnie i spokojnie. O stronie intymnej tego pożycia opowiadali sobie rubasznie Sarmaci na ucho, przy kielichu teglego miodu lub marmazji. Mało kto, naturalnie, pisał o tych sprawach. Siedemnastowieczny autor „Oeconomii Ziemiańskiej” Haur zalecał tylko jako dobry gospodarz: „Ta zabawa ma mieć swój osobliwy czas z rana, na czczo, i z wieczora w kilka godzin po obiedzie, ponieważ po przedkim jedzeniu czyni impediment (przeszkodę) do strawienia żołądkowi, a z tego powodu móżna się w człowięku różne humory i choroby... Dla przestrogi wiedzieć

należy, że po skutecznej z Wenerą zabawie trzeba sobie zawsze uczynić uspokojenie: poleżeć sobie cicho, a najdłużej niewiastom...”

W tych czasach rozwód był nieznanym w społeczeństwie szlacheckim, chyba tylko w sferach magnackich, i to nie rozwód, a separacja, rozejście się małżonków, zawsze prawie tragiczne dla niewiasty, bo końzące się tym, że na resztę życia zamykała się w klasztorze.

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

## Zakazana miłość

Złamania wiary małżeńskiej dopuszczali się przeważnie mężowie. Sytuacja mężczyzny była lepsza, już choćby dlatego, że łatwiej mu było „wyrwać się” z domu na pohulankę do karczmy lub sąsiadów. Dla biogłowy zdrada w warunkach życia ziemiańskiego nie była łatwa. Każda wizyta we dworze była widoczna jak na dłoni. Domownicy, służba wiedzieli, kto gościł u pani w domu. Zresztą, nie było w zwyczaju przyjmowanie przez niewiasty wizyt mężczyzn w izolowanych komnatach niewieściech. Mówi o tym wiersz Wacława Potockiego:

„Zadna wstydlwa panna, wdowa i mężatka nie mówi, nie bawi się z mężczyzną bez świadka, gdyż choćby dla mówienia zeszli się pacierzy, nie dla czego innego, nikt w to nie uwierzy”. Najłatwiej jeszcze — pisze Bystron w „Dziejach o-

byczajów” — było zdradzać męża z którymś z licznych ogół domowników, dworzana lub slug, gdyż to najmniej zwracało uwagi i najłatwiej dało się ukryć. Znany satyryk siedemnastowieczny Opaliński, podając w wątpliwość wierność małżeńską żon, pisał: „Nie tyś ojcem... Janusz woźnica albo hajduk Giergiel”.

Na ten sam temat słynny Naruszewicz sztydził:

„Mamże ufać twych babulek nieskazanej cności, że jak są w sztucznych kobietki misterne były zawsze poczciwe i swym mężom wierne? Czy ta krew, co się młynem po twych żyłach wije przez czyste przechodziła zawsze Lukrecyje, ni tam jaki zuchwalec z pacholców szeregu przerwał ją w zacnych dziedach szlachetnego biegu”.

Oszukiwanego męża zwanego z niemiecka barnejem lub też z włoska — kornutem (becco cornuto). Jak bardzo mężowie byli zazdrośni o swe żony i czuwal nad ich wiernością, może świadczyć choćby scena zamurowania przez wojewodę w tragedii Słowackiego „Mazepa” lekcjoducha podejrzewanego o romans z Amelią.

Głośny też był fakt skazania przez księcia Radziwiłła na utopienie kochanka żony, Tatarzyna Osmólskiego. Pani Radziwiłłowa miała po-

dobno wyrazić się cynicznie o swym utopionym kochanku: „Po dobrym kąsku napięć się nie wadzi”.

Dopiero rozprzeżenie obyczajów w czasach saskich wraz z emancypacją kobiet i urządzaniem sobie przez szlachtę rezydencji w miastach przynosiło nowe zwyczaje: bezkarną zdradę małżeńską.

Głośna pisarka w połowie XVIII stulecia Elżbieta Drużbacka pisała ironicznie:

„Przysięgać jawnie—bagatela, fraszki... Ciało swobodne, lecz dusza uwieziona, Przymierze z Twórcą dla stworzenia lamie. Idź precz, Antoni, żyj ze mną, Adamie!”

W parze z rozluźnieniem moralności szła moda, dany zaczęły obnażać gorsy i wzbijać się staropolskie wstydy. Moralisci plorowali na upadek obyczajów. „Nasze biogłowy jęły się włóczyć po cudzych krajach, Jeszcze młode wdowy, zamiaszt w swym kacie kądziel prząść, aż one do Rzymu” Nazywany „szlafrokiem” król August III i jego żona wyśmiewana jako dewotka, nie mogli już naprawić spustoszeń, które w dziedzinie moralności wyrządził poprzedni król August II Mocny. Obok objawów ujemnych można jednak zanotować i dodatnie: emancypację kobiet. Wspomniana Drużbacka stwierdziła dumnie: „W wolnym narodzie mnie też wolność dana — mieć głos, że i ja na to nie pozwalam, co mi się nie zda”.

Swoboda obyczajowa daje o sobie znać szczególnie we wzrastających do zawrotnej liczby rozwodach. „Wolno się

na czas żenić, wolno i rozwodzić” — wyśmiewa się z tego zjawiska poeta i satyryk Krasicki.

Obliczano, że w samej stolicy, w Warszawie, liczba rozwodów była większa niż w całej Polsce (Koronie i Litwie razem wziętych). O powod nie było trudno. Z początku starano się udowodnić, że małżeństwo było „ratum sed non consummatum” (zawarte, lecz nie dopełnione fizycznie) i na tej zasadzie występowano z żądaniem rozwodu.

Później doszukiwano się braków formalnych: non assistentiae propril parochii (niewłaściwy proboszcz przy ślubie).

Rozstrzygał sąd nuncjatury warszawskiej, który uchylił potrzebę apelacji do Rzymu. Jak to się odbywało, łatwo się domyślić. Decydowała jak zawsze i jak wszędzie pozycja majątkowa i społeczna osoby wnoszącej skargę o rozwód. Im kto lepiej sytuowany, tym łatwiej uzyskiwał rozwłazanie małżeństwa. Powód prawny zawsze się jakiś znalazł! Księża mieli doświadczenie kasulstyczno-scholastyczne, byli wszak wychowani na kodeksie kanonicznym! My zaliśmy te sprawy sprzed wojny, gdy orzeczenia w sprawach rozwodowych były ferowane przez kościelne sądy konsystorskie. Oburzenia i śmiechu zarazem było w narodzie co niemiara! O przedziwnych kruczkach prawnych przed sądem areybiskupim pisał niezapomniany Boy. Wówczas również rozwody były tylko dla ludzi ustosunkowanych, którzy mieli grubszą pieniążki. Postępowanie przed areybiskupim sądem było areykosztowne! Kto eiekaw tych spraw, niech przeczyta Boya „Dziewice konsystorskie”. Arcypikantna lek-tura!



Za dwa tygodnie feliton Władysława Rymkiewicza

„6 przykazanie — nie cudzołózi”

odnosy str. 9



Lubię bywać u Henia. Bardzo lubię bywać u tego kolorysty. Gdy używam słowa „kolorysta”, nie myślę oczywiście o obrazach i ceramice tego artysty. Na malarstwie i garniarstwie niewiele się przecież znam... tyle, co kura na pieprzu... Myślę o kolorowości strojów Henia... ich zaskakującej, lecz nigdy nie barbarzyńskiej harmonii... tej harmonii, w której tak czytelnie zaznacza się i zamilowanie Henia do kulinarnych perwersji i jego rozkochanie się w konfekcyjnych ekstrawagancjach.

Jeśli bowiem Henio włożył na siebie koszulę barwy rumianej postnej, to już jego krawat na pewno musiał przypominać barwą... sandacza z jajami na twardo, jeśli krawat przypominał... sandacza, to marynarka musiała przypominać deseniem... łazanki zapiekane z serem szwajcarskim... Jeśli marynara przypominała... zapiekane łazanki, to spodnie musiał przypominać... rolmopsy w oliwie, bądź wielkopostne bliny z kawiozem.

Już nie wspominać wdzięk małżonki Henia... nie wspominać innych szczegółów jej kobiecych dekoracji... tych wspaniałych kombinacji kalafiorów z wody i pekeflejszów na gorąco z chrzanem, śliwek marynowanych w occie i kandyzowanych moreli; tych różnokolorowych toczków — terakotowych, rubinowych, pływających, przypominających wazoniki obrócone do góry dnem — to rondelki o jednym uchu — spod których, w obramieniu farbowanych na rudo włosów wylewa się twarz tej kobiety, nieskazitelnie biała jak ser krowi i pachnąca całą gamą pachnidel firmy Elizabeth Arden.

Wierzę! Sam dźwięk imienia „Henia” przyprawia mój żołądek o ssanie... Gdy posłyszysz to imię, żadna siła ludzka nie zdoła mnie powstrzymać od pójdęcia do tych bogaczy.

Jeśli zaś uda mi się wkręcić do nich na darmowy obiad, toż to wtedy uciecha, toż raj!... toż to buszują po szafach, toż plądrują garderoby... Oglądam wtedy kurtki marynarskie — z kapiszonami i bez; miętoszące angielskie czapki dżokejskie, peleryny podobne naturalnym jedwabiem, opończe... suty, faldziste mantyle; przetrucam cholewiaki na wysokich hiszpańskich obcasach... indiańskie mokasyny... ineksprymable gauchosów zapinane na skórzane klapy z przodu, zapinane na skórzane niezbedniki z tyłu; karmię wzrok różnobarwnymi boletami, jupkami (wszystko to oczywiście pochodzi z zagranicznych rynków ze starzyzną!) Tarzam się w tym baroku odzieży jak pijany Kozak w... dziegiu i atlasach.

Najlepiej czuję się u Heniostwa, gdy polaskotani mymi pochlebstwami częstują mnie lunchem... Na positek ten składają się jaja po indyjsku (gotowane w esencji herbacianej, a jakże!), szwedzkie żółtka na prawdziwym francuskim occie (też z paczki), norweska legumina chlebowa z parmezanem (z paczki), pipermint „Tip-tea” lub zielona angielska po angielsku, z mlekiem...

Po lunchu pani Henrykowa częstuje mnie włoskimi pieczonymi kasztanami, potem wileńską „podsyta” sporządzoną z maku, śmietany i rodzynków oraz syberyjskiego miodu (z puszek) z napisem „Tajga-Miod”, w którym to

napisie bez trudności można rozpoznać charakter pisma Henia).

Po wetach rozkładamy swe ciała na legowiskach. Pani domu, ponieważ jest najtęższa, układa swe ciało na wspaniałej biedermeyerowskiej kanapie z bądelkami, my zaś z Heniem — każdy oczywiście w plażowych okularach i z zagranicznym magazynem w ręku — to na łóżkach w stylu Ludwika Filipa, to na kozetkach w stylu innych Ludwików.

ZYGMUNT FIJAS

## KARTKA Z „KSIĘGI SNOBÓW“



Opowiadamy sobie wtedy o o-sobliwościach losu: jak to niekiedy bywa, że jeden malarz maluje suchotnicze obrazki, o które nawet kulawy pies się nie zapyta, drugi projektuje winiety do zeszytów i wzory do filizanek i opływa we wszystko jak basza; jak to Henio wytlacza z gliny klipsy i wisioriki i stać go na własny dom, własnego de Luxea, zaś Staszek Kłodziej męczy się nad kompozycjami figuralnymi, z których nic mu nie wychodzi, i ciągle wyciera spodnie w przedpokojach za stypendiami. „Oj”, wzdycha pani Henrykowa wyskubując z wnętrza moich nogawek wełnianą nitkę i próbując jej nad płomieniem zapalki, czy jest z prawdziwej wełny, „oj, jej, o jeja!” stęka, bo nitka nie jest wełniana, „dała Opatrzność Heniowi talent! oj, dał mu Pan Bóg talent, ale dał mu też i rozum”.

Henio wtedy puszy się jak indor, na jego hetmańskie twarzy wyskakują kremowe piegę jak na indyjskim jaju, ściga z nogi but i pukając serdecznym palcem w jego podeszwę, mówi: — USA... Dwa lata chodzę na tej zelówce i nie widać śladu zdarcia.

— Wyborne obuwie — przytakuje. — Trzy lata garbuje się na Zachodzie skórę na buty, a u nas?... U nas ledwo skóra zostanie

zdartą z krowy, zaraz ją palają do przedkiego ognia... zaraz ją wapią i plawią w dębowej korce... zaraz ją pchają do spółdzielni. Zadowolony Henio przewraca się na kozetce z boku na bok i — skąd to jest? — zapytuje żonę, częstując mnie „werdzinkami” ze skórzanej papierośnicy — skąd ta papierośnica?

— Papierośnica to... Hiszpania — odpowiada małżonka. — Szlafmyca?

— NRF. — Skarpetki? — już ja go wyrzeczam w pytaniach. — Szkocja! Czysty Edynburg! — Sweter? — Australia.

— A ta kamizelka w podłużne pasy? — Południowa Gwatemala! — Razem z tym urugwajskim kocem to czysta południowa Guatemala... pamiętasz? — I Henio — żeby mnie już ostatecznie pognebić — zaczyna opowiadać o swych nowych sukcesach, o bajecznych zamówieniach na wzory naszyjników z lakierowanej fasoli i wernikowanego bobu, przepysznych klipsach ze zwyczajnego, pękającego ilitu, na które zostanie naniesiona nowa faktura, przypominająca to wypukły taszym geometrycz-

ny, to płaską bezkształtną kompozycję a la „abstrakcja czysta”. Zona Henia, słuchając męża, przeży wówczas swe bujne pierś (piersi tak ściśle opięte staniczkami, że ilekroć wciągnie głębszy oddech, boję się, iż opięcie to nie wytrzyma i pęknie... trzaśnie wyzwalając różowe ciało, pokryte bladymi pręgami jak wążana sznurkiem szynka) i znowu wzdycha: „Oj, dał Pan Bóg niektórym ludziom talent, a dał im talent, ale też dał im rozum... oj, dał im rozum”.

Po kolacji oglądamy program telewizyjny.

Po obejrzeniu filmu bądź wysłuchaniu opery udaję się do domu. Jeśli Heniostwo zaproszą mnie na nocleg, długo, długo nie mogę zasnąć... Tłoczę się wówczas w mojej mózgowicy różne myśli: pełne zalekniecie przed przyszłością, bo pracuję jako sekretarz w administracji i boję się przesunąć, to — przepelnione gorczyczą i pesymizmem do siebie, gdyż nie mam siły i odwagi, aby rzucić się na złamanie karku w rekordzie, to znowu tłuką się w mym łbie szmery, dochodzące z pracowni Henia.

Heniostwo bowiem pracują w nocy. Korzystają z jej osłony, aby nie zostało ujawnione, że wykonują rękodzieło z pomocą czeladzi, za co groziłby im domiar. Odzywają się wtedy w ich pracowni te niepokojące mnie mlaskania, stękania, podobne do tych, jakie wydaje ciasto gniecione przez piekacza, rozlega się zgrzyt maszyn i emokanie surowca rozbełtywanego wodą i wielokrotnie przeklepywanego jak ciasto chlebowe. Po należytych zmieszaniu go z piaskiem-mulem i po wyschnięciu na garach, powstaną te poszukiwane przez elegantki miejskie przeróżnego rodzaju gliniane precjoza i biżuteria, za którą znowu będą jeść norweskie leguminy z parmezanem i wierzbową makę, rozbijając się w Luxeach po Krynicy, Brukselach i Krymach i podejmować kaleki życiowe, podobne do mnie i mych rówieśników dyktantów.

ZYGMUNT FIJAS

Grzeczne psy—mile widziane



Nr 4. 31. VIII. 58 Rok I

Za teksty pomieszczone w niniejszej rubryce redakcja odpowiada, ale nie płaci.

Z cyklu:

### EROTYZM W PROZIE

Po straszliwym wybuchu placzu Stefcia z klęczek osunęła się na podłogę — i skulona, wlepiła oczy w jasny, drgający płomień co jak rakietę, wypadł z okna i szerokim pasem przetrząnął pokój, rozświetlając delikatne pyły. Oczy Stefci pomimo łzawej mętni, gorzały. Buchała z nich szalona miłością dusza, obudzona a pałacy żar młodej natury. Na ustach jej zaskrzępy ból zmalął; rozchyłał je teraz dzięki krzyk wewnętrznej nawalnicy. Wrzała w niej męka i krew rozkpiła, bijąca ogniem na twarz. Dłonie łamały się w żywiołowej walce. Wszystkie siły duchowe Stefcia wezwała na pomoc. Za słabe były, nie mogły zwyciężyć. Miłość jej, tragiczna, głęboka a poważna przez swą ciszę, gwałtownie, jak pożar od iskry piorunu, targnęła jej sercem, porywając w bezkresny wir zmysły i duszę. Pożoga olbrzymich uczuć zatrzęsła istotą Stefci, wałąc w mózg niezmierną potęgą, płomieniem, nieśmiesznie z rozpadem huraganu gorące zarzewia do jej żył. Krótka chwila uścisku Waldemara pozostała w nerwach. Stefcia czuła się opasaną żelaznymi okowami jego namiętych ramion. Czując rozpalony oddech jego ust obok swej skroni przez jeden błysk oka.

Stefcia wyjęczała rozzdzierającą serce skargę: — Kocham go do szaleństwa, bez pamięci! Jego być chce, jego nie wolnieć! Wpychała chusteczkę w usta, aby nie skowyczeć z bólu z pragnień słodkich, niosących ją w zawrotną przepaść tęsknoty. — Kocham go o! Waldy! Waldy mój panie!

(HELENA MNISZEK) — „Trędowata”



### SWAWOLNE ROZRYWKI UMYSŁOWE

Dwa rysunki, które reproduujemy poniżej, różnią się podobno między sobą pewną ilością szczegółów.

Laskawy Czytelniku! Jeśli pragniesz zostać uczestnikiem naszych swawolnych imprez rozrywkowych, a obdarzony jesteś wystarczającą spostrzegawczością — sprawdź to! A potem zawiadom nas o wyniku. Może zdobędziesz nagrodę.



CZY ZGŁOSIŁAS JUŻ SWOJĄ PROPOZYCJĘ W ZWIĄZKU Z WYBÓREM „MISS LUNAPARK 58”? PAMIĘTAJ, ŻE CZEKAMY NA TWOJĄ LIST.

### CHCA KORESPONDOWAĆ

#### PIERWSZE ZGŁOSZENIE

Wielce Szanowny „Lunaparku!” Przeczytałem w 25 numerze „Odgłosów”, że zostanie otwarty w twoich ramach — kącik korespondencyjny. A ja właśnie chciałbym z kimś zawrzeć listową znajomość. Mam dopiero 17 lat i dlatego nie wiem, czy nie stanie to na przeszkodzie. W każdym razie proszę o podanie mojej kondydatury. Nazywam się Jerzy Banaszczyk, Łódź 14 ul. Zagraniczna 3.

Moje zainteresowania to jazd, taniec, teatr, piosenki, sport i książki. Pracuję w charakterze monterka samochodowego.

Łączę pozdrowienia.

Jurek

#### Z PRASY

„Dziennik Łódzki” w numerze 190 z dnia 12.VIII. 1958 r. zamieścił ogłoszenie o następującej treści:

#### Odczyt w Klubie TPP-R

Dnia 13.8. 1958 r. godz. 18 w Łódzkim Klubie TPP-R, ul. Narutowicza 28 red. J. Lesman wygłosi odczyt pt. „Radzieckie doświadczenia inwestycyjne dla Polski”. Po odczycie film „Szatan zarządca”.

Pomyślecie tylko! Ledwo szatan zaczął zazdrościć, a już to zdążyli nakręcić. Od razu widać, że nasza kinematografia wyszła z impasu!

#### ON NIE JEST MORDERCĄ!

W 695 numerze „Przekroju” znalazło się zakończenie powieści „Most na rzece Kwai”. W związku z tym tłumacz książki, p. Juliusz Kidyński dla porównania streszcza zakończenie filmu. „Pulkownik Nicholson po unieszkodliwieniu Joyce’a, nagle prze-



rzął. Z przerażeniem powtarza: co ja zrobiłem!”

Niestety. Ta scena wygląda nieco inaczej. Joyce ginie od japońskiej kuli, a pulkownik Nicholson (Alec Guinness, patrz foto) zostaje zabity, gdy się nad chłopcem pochyla. Czyli Nicholson nie jest mordercą, choć przez swój protest przyczynił się do tej śmierci.

„Lunapark” — tygodnik społeczno-kulturalny o szerokich zainteresowaniach. Redaguje Kolegium. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy adresować: „Odgłosy” z adnotacją — „dla Lunaparku”.

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie 1,- zł, kwartalnie 12,- zł Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7-6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy” Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2509. VIII. 58. M-10.

odgłosy str. 10



## Najostrzejsze ołówki świata

# VIGHI

albo

# debiut Włocha

Debiut Włocha — oczywiście tylko w naszym cyklu „najostrzejszych ołówków świata”. Bo przecież Vighi już od ówczesnego wieku rozśmiesza swoich słomków. Znają go też dobrze czytelnicy magazynów ilustrowanych Francji i Niemiec.

W Polsce zaś — w Polsce humor włoski pozostaje prawie zupełnie nieznaną. Trudno dociec, dlaczego tak się dzieje — może po prostu zbyt mało włoskich czasopism dociera do naszego kraju. Może też grają pewną rolę trudności językowe — Włosi szczególnie chętnie uprawiają tradycyjną formę żartu, dowcipy zapatrzone tekstem, często operują nieprzetłumaczalnym kalamburem, dwuznacznikiem.

Vighi nie posuwa się aż tak daleko. Tworzy przeważnie żarty z podpisem, ale interesuje go przede wszystkim sytuacja, nie gra słów. Tekst w tym wypadku jest tylko uzupełnieniem rysunku. Dodajmy — uzupełnieniem czasami całkowicie zbędnym, niektóre rysunki tu-



maczą się same przez się i bez jednego słowa mogłyby z powodzeniem śmieszyć.

Rzecz ciekawa, Vighi nie posiada żadnych szczególnie ulubionych tematów, ani obsesji, co jest tak charakterystyczne dla wielu rysowników (Bosc — wojsko, Francois — malarze, Parich i Addams — zdarzenia makabryczne). Tym niemniej łatwo zauważyć wspólną cechę wszystkich żartów włoskiego humorysty: ironię. Vighi wyraźnie podkłada ze swych wielkonosych bohaterów, głupców i niedorajdów. Bez trudu wyczuwamy tu złośliwe żądło satyryka.

Warto bowiem wiedzieć, że rysunki humorystyczne, to tylko jedno oblicze twórczości Vighi'ego. Niemal



równie często wypowiada się on w gatunku czysto satyrycznym, ujawniając niespotykaną, gniewną zjadliwość.

Vighi jest ogromnie płodnym rysownikiem, współpracuje stale z wieloma czasopismami, m. in. z reprezentacyjną „Epoca” i świetnie redagowanym magazynem komunistów, „Vie Nuove”.

J. W.



— Przepraszam, którą na lotnisko?...



— Nie mogliśmy przyjść wcześniej, panie dyrektorze,



— Schowaj L...le...lepiej strzelbę, wy...wyjmij aparat fotograficzny.

TADEUSZ  
CHROŚCIELEWSKI

## POETA ZAPOZNANY



Żadna ze zbiorowych czy „monograficznych” recenzji, poświęconych tomikom i serii łódzkiej Biblioteki Poetów nie zajęła się ani zbiorkiem Janusza Skoszkiewicza — „Na krawędzi czasu”, ani tomikiem Mirosława Ochockiego.\*

Charakterystyczne — jest to przecież zjawisko, które rozpatrywać trzeba w kategoriach socjologicznych, a nie osobistych — personalnych — że nawet reklamowa „Jaskółka” wydawnicza, zapowiadająca ukazanie się łódzkiej Serii, w odniesieniu do Ochockiego ograniczyła się do pejoratywnej uwagi o „trudnych do przetłumaczenia wpływach Jastruna i Przybosa”.

Uwaga jest nie tylko pejoratywna, ale i żenująco nie słuszną. Wyraźniejsze wpływy raczej tylko Jastruna (podejmowanie tematów uroczystych, skłonność do autoritarnych retoryki czy predylekcja do jambu) są tajemniczą juwenilnością. Poezje Ochockiego dojrzałego, jaką pokazał w tomiku „Nie ma Jerzego”, cechuje dość znaczna odrębność zarówno od obu poetów, których jest rzekomo epigonem, jak i od pozostałych z plomiennym „październikowcem” — Woroszyńskim na czele. Pisze: dość znaczna, bo przecież nie mogą nie istnieć zbieżności i powiązania warsztatowe, jeśli wymienieni wybitni poeci w dużym stopniu przyczynili się do wydoskonalenia techniki wiersza nowoczesnego, zaś Ochocki bynajmniej nie dobiera swych narzędzi poetyckich spośród eksponatów muzeum dawnych technik. Tzw. „odrzębności” są zresztą bardzo względne i przemijające.

Zainteresowania Ochockiego obracają się wokół kilku spraw, tzw. wieczystych, doszczętnie zdawałoby się przez poezję wyeksploatowanych; melancholia przemijania, tęsknota za dzieciństwem, pragnienie zatrzymania w przelocie i utrwaleń w rysunku przemijającej

chwili, rozterka duchowa po odejściu matki w śmierć, zdziwienie nad uświadomionym sobie faktem, że drugi człowiek, nawet śpiące niemowlę (wiersz „Przed odjazdem”) stanowią cudownie odrębny dla najbliższej nawet istoty świat psychiczny. Mirosław Ochocki jako poeta nie jest kostycznym, beznamiętnym intelektualistą, wypowiadającym w jakichś zawyżonych „Sonetach nad głębiami” odkryte przez siebie prawdy kosmologiczne. Ochocki jest wzruszeniowcem reagującym uczuciowo na sprawy podstawowe, powszechne, nie docieka prawd samych w sobie, lecz oddaje swe bardzo ludzkie i bardzo powszechne wzruszenia.

Ochocki śmiało stosuje skróty myślowe i przemilczenia; wypowiada się bez reszty poprzez obraz poetycki — sugestywny i świeży. Warto wreszcie podkreślić wyjątkowość w obecnych czasach lekceważenia wartości muzycznych wiersza i rozpanoszonej „gluchoty” wśród młodych poetów wrażliwość w tej mierze Ochockiego, świetne operowanie rytmem, zwalnianie i przyspieszanie, wydłużanie frazy, nieustannie urozmaicane przetrzaskami „wiersza białego” (syلابiczny bez rymów), który po latach zarzucenia go przez kilka pokoleń poetów zdaje się na nowo odkrywać.

Autor „Nie ma Jerzego” dysponuje rozległą skalą środków artystycznego wyrazu. Najciekawsza jest może jego przenośnia. Razawangardowa, odległa, a rozluźnionej więzi logicznej — jak np. szokujące w swej skrótowości personifikacje w wierszu „Echo” („Dzień przelany w kragły bark kobiecy”, „biel jej z kory brzoź spojonych pleców”), to znów ekspresjonistyczna, ale utrzymana w rytmach realizmu, o dużych wartościach plastycznych.

Niekiedy też stosuje autor i chwyt tradycyjny: przenośni przydaje znaczenie symbolu i buduje zeń zdanie — aforyzm np.

„Płyta czasu jest srebrna. Ale tamte lata przegryzi ją rdza czarna”.

Niezmiernie ciekawe jest wykorzystanie dwuznaczności konkretnego zdania dla oddania wewnętrznego dramatu. Czyny to Ochocki w wierszu o śmierci matki, w najpiękniejszym bodaj utworze w tomiku.

Nie ukrywam pochlebnego sądu o tym tomiku; być może, nie ustrzegłem się od stronniczości. Wrażliwy czytelnik z kręgu tych, dla których poezja nie kończy się na Konopnickiej, sprawdź, czy mam rację. Zachęcam gorąco.

\* Mirosław Ochocki — „Nie ma Jerzego” — Biblioteka Poetów Łódzkiej 1957. Wydawnictwo Łódzkie.

## Ciekawostki duńskie

(Dokończenie ze str. 2)

W prywatnym sklepie (w Danii są oczywiście i sklepy spółdzielcze, ale — wyznaję — kilka razy kupowałem drobności w sklepach prywatnych), otóż w pewnym prywatnym sklepie kupowaliśmy z kolegą po dziesięć sztuk nożyków do gołenias i krem. Właściciel, dowiedziawszy się, że zaszczytli go odwiedziemy, sam obsługiwał, sam zawiązywał paczki i jakoś dziwnie spojrzał na nasze spoczone czoła. Wiadomo: ganialiśmy z wywieszonymi językami od rana do późnej nocy. Poeculiśmy się nieswojo, zwłaszcza kiedy uśmiechnięty pan gwałtownym ruchem sięgnął po słuchawkę i coś szybko zagadał. Mój towarzysz spojrzal wymownie na drzwi: licho wie, co taktemu kupcowi w inelafatywny prywatnej może przyjąć do głowy. Ale oto nrzęd sklepem zjawia się limuzy-

na. Pan kupiec odwozi nas na własny koszt do hotelu. Zgoda: taksówka była wkalkulowana do ceny żyletek. Ale gdybyśmy tak w Łodzi, Kielcach, a nawet w stolicy poprosili kierownika sklepu o sprowadzenie taksówki. Co? Toż by dopiero była sensacja!

Wszyscy Duńczycy, nie tylko jak dawniej, mieszkańcy wsi, ale i zatorwardziane mieszczuchy związane są w jakiś sposób z Uniwersytetami Ludowymi. Może stąd ta postawa i stosunek do życia, uczciwość, pogoda i wzajemny szacunek. Są Uniwersytety Ludowe dla nauczycieli, dziennikarzy, urzędników, robotników, chłopów, działaczy społecznych i gospodarczych. Absolutnie nie otrzymują żadnych świadczeń, bo i po co? Również i szkoły podstawowe (siedmioklasowe) nie wydała żadnych świadczeń. Wiadomo bowiem, że każdy obywatel musi taką szkołę ukończyć,

Polonia duńska, ta osiadła jeszcze przed pierwszą wojną światową, żyje dostatnio, a mimo to tęskni potwornie do kraju. Do ambasady polskiej chodzą jak do swego domu. — Dlaczego polubiliście tak pana ambasadora? — pytam. — A bo to nie żaden ambasador tylko swój chłop. Nikt lepiej od niego nie poradzi.

Jest jednak jeszcze jedna ambasada polska w Danii. To piękna willa położona w pobliżu Kopenhagi i jej uroczą gospodynią pani Romana Heltberg i jej córka Krystyna. Obie pracują na Uniwersytecie Kopenhaskim, obie jedyną Polkę przyjaźnił wśród Duńczyków, obie prowadzą dom otwarty dla przyjeżdżających Polaków. Niesposób pominąć tego gościnnego domu, niesposób nie złożyć wyrazów szacunku jego gospodyniom. W r. 1957 ukazała się nakładem „Czytelnika” książka Gerdy Eld „Krystyna” w pięknym przekładzie Romany Heltberg. W październiku ukaże się duński przekład „Pana Tadeusza” staraniem wielkiego przyjaciela Polski dr Folmara Wist.

Wielu przyjaciół mamy w Danii.

Hość ich rośnie z roku na rok, szczególnie wśród młodego pokolenia. Prasa poświęca sprawom polskim wiele miejsca. W przyszłym roku odbędzie się w Polsce seminarium polsko-duńskie poświęcone problematyce kulturalnej. Uczestnicy seminarium odwiedzą również i Łódź. Władze miejskie zgadzają im zapewne także same przyjęcie, jakie zgotowali burmistrzowie miast duńskich polskim uczestnikom seminarium w Danii w sierpniu br.

O gościnności i galanterii Polaków mówi się w Danii wiele. Polski zwyczaj całowania damskich rączek i ustępowania miejsc paniom zjednuje sobie szybko naśladowców ku ogromnej ucieście sympatycznych, pracowitych i bardzo oszczędnych Duńek.

Mieszkałem wraz z grupą polską w hotelu kopenhaskim „Minerwa”, później „Solbacken”. Nazwy tych hoteli nie figurują w spisie telefonów. Okazuje się, że to zwyczajne domy akademickie (każdy gmach dziesięciopiętrowy), które studenci zamieniają w sezonie letnim na hotele turystyczne. Wygodne poje-

dyńcze pokoje z oddzielnymi łazienkami i WC cieszą się powodzeniem wśród licznie przybywających do Danii turystów z całego świata. Studenci zaś zarabiają na tej metamorfizie tak dobrze, że mają zapewniony spokojny żywot w okresie studiów jesienno-zimowych.

Pytałem znajomych duńskich, czy wszystkie te pomysły nie są przypadkiem prawie zastrzeżone. Czy można je naśladować? — Ależ oczywiście — brzmiała odpowiedź. Wobec tego odpowiadałem:

— I my nie mamy nic przeciwko temu, abyście naśladowali nas w tym wszystkim, co u nas jest piękne, korzystne i rozsądne. Też musimy niejedno do pokazania. To nieprawda, że kurtyna w naszym kraju opadła. Nikt jej nigdy nie opuścił i dlatego drzwi stoją zawsze otworem.

WALDEMAR BABINICZ



## CO SŁYCHAĆ W NRF?

### Telegrafistki na froncie

Na Zachodzie przyszła moda na filmy problemowe, tzw. filmy z tezą. Któż zdoła oprzeć się modzie? Tak więc i w Niemczech Zachodnich powstają dzieła z wydzwiękiem. Reżyser Werner Klinger realizuje film pt. „Telegrafistki na froncie”. Akcja filmu siega czasów wojny. Jest czerwiec 1944 roku. Francja. Do jednego ze zgrupowań Wehrmachtu przybywa kobiety oddział służby łączności. Życie młodych dziewcząt w koszarach, miłość Niemki i Francuza i ich tragiczna śmierć, smutny romans lotnika i telegrafistki, która pierwsza odbiera wieść o zestrzeleniu ukochanego; demoralizacja wojska niemieckiego — oto treść tego interesującego filmu. Potępienie bezsensu wojny, jej ujemnego wpływu na moralność i życie jednostki jest tym cenniejsze, że płynie z ust artystów niemieckich.

### Wzywajcie 136211

Wszyscy pamiętamy uroczony film włoski „Panienki z międzymiastowej”. Tematem nowego filmu Kurta Meisela, (z tytułowanego „Wzywajcie 136211”) jest również życie telegrafistek, ale potraktowane bardziej surowo i bardziej poważnie. Młoda dziewczyna z tzw. dobrego domu zostaje wciągnięta w środowisko i styl życia dziewcząt z centrali telefonicznej zwanych popularnie call-girls. Nie jest to żywot wesoly i bez troski. Nie brak w nim podstępnych zasadzek, okrucieństwa, kłopotów i upadków. Atrakcyjność samego tematu powiększa uroczą obsadę, a zwłaszcza piękna Sabina Sesselman w roli głównej.

### Trucizna miłości

Te sama artystka spotykamy w filmie „Trucizna miłości” Veita Harlana, twórcy osławionego „Zyda Süsa”. Jest to film o pewnym odiumie tzw. nowoczesnej młodzieży pozbawionej wszel-



EDWARD ETLER

kich przesądów i zasad intelektualnych i moralnych. Czy młodzież ta jest szczęśliwa?

Czy w głębi duszy nie tęskni ona za czymś wręcz przeciwnym? Czy miłość jest wartością, która potrafi ostać się w dzisiejszym świecie? Oto pytania, na które stara się odpowiedzieć reżyser prezentując swą bohaterkę, piękną, pustą i zepsutą dziewczynę. Dzieło Harlana, interesujące pod względem realizatorskim — obfituje w mnóstwo drastycznych scen erotycznych.

### Dlaczego nie chodzisz do kina?

oto tytuł ankiety, którą ogłosimy w jednym z najbliższych numerów.



ty” otoczonej w dodatku przez Niemców — akcja urywa się, następuje skrót czasowy tłumaczący, że worek został jednak uratowany. Jest to po prostu kpina z widza. Żaden rzetelny autor powieści sensacyjnej nigdy by sobie nie pozwolił na użycie takiej łatwizny. Film czyni to pod pozorem budowania niespodzianki.

Umieranie! Jest rzeczą wiadomą, że pokazanie chwili śmierci nie należy do specjalności naszych aktorów. Trudno wymagać, żeby umierali oni jak Alec Guinness w „Moście na rzece Kwai”, ale to, co wyprawiają kolejno rozstający się ze światem bohaterowie „Pigułki” — przechodzi granicę przyzwoitości. Gorzej jeszcze zachowują się w chwili zgonu statysty. Oto wyskakuje z obstawionego pociągu młody partyzant, skacze na głowę (usiłującemu zaprotestować) niemieckiemu żołnierzowi i obaj stacają się z nasypu. Krótkie szamotanie, aż z nagłą Niemiec kładzie się na wznak i rozkłada ręce. Partyzant biegnie dalej, aż trafia go seria z automatu stojącego na uboczu żandarma.

Zwracam na to uwagę, bo gdy film jest już westernem, wtedy obowiązują go prawa tego gatunku. Tymczasem w „Pigułkach dla Aurelii” co krok spotyka się nowe w tej materii uchybienia. Począw-

YVES MONTAND



Rys. Ibis Gratkowski

ce drukowane od ręcznie dopisywanych komentarzy. To niebezpieczeństwo, które podałem w nawiasie,

niestety, jest nieuniknione. Albowiem zestawienie tuzinkowych recenzji bywa niezwykle pouczające. Przynajmniej u nas. Owe recenzje, oparte na drukowanym materiale źródłowym, na ogół mało się od siebie różnią. Wywieszenie ich razem — na jednej bezwzględnej desce skończyłoby się kapitalną kompromitacją. Kto wie, czy sam bym się oparł pokusie dopisania ołówkowego komentarza. Kto wie?

W każdym razie zakończę apelem. Państwo kierownicy kin! Wprowadźcie deski. Jeśli nie dla dobra widza, to przynajmniej dla przypadkowych recenzentów. Prędkiej się opamiętaj.

SZYMON LECH

# Miśkanki FILMOWA

## Uwagi przed premierą polskiego filmu

Nader łatwo jest udowodnić, że „Pigułki dla Aurelii” to film nieudany. Ba, ten obraz zdaje się wręcz prowokować zastrzeżenia i niemal wyprasza sobie zasadnicze uwagi. Dzieje się tak za sprawą Stanisława Lenartowicza, którego filmy zwykło się śledzić z większą uwagą niż inne, tuzinkowe obrazy. Do każdej innej rzeczy można przykładać zasady taryfy ulgowej. Tylko nie do „Pigułki dla Aurelii”, choć z drugiej strony nawet w najsłabszych swoich fragmentach jest to jednak lepszy film od tych, które za zwyczaj określamy mianem nieudanych. Jest to obraz o dobrych zdjęciach i starannej miejscami reżyserii, która mogłaby zadowolić, gdy-

## DLA AURELI

by scenariusz był opracowany starannie. Tak się jednak nie stało. Mimo to „Pigułki” będą się podobały widzowi! Zaważyły na tym przynajmniej cztery powody:

Jedno nie ulega kwestii: ten film cieszyć się będzie powodzeniem i na pewno spełni ważki postulat kasowości.

Kryje się za tym nie lada paradoks. Oto autorowi „Zimowego zmierzchu” (patrz poprzedni numer „Ogłosów”) udało się zrealizować film nader optymalny, ale za to — bynajmniej nie artystyczny. Chociaż „Pigułki” posiadają w tym względzie pewne ambicje. Myślę tu o elementach dziwności, nagromadzonych w scenariuszu, o pomysły zamknięcia filmu itp. Swój drogą warto zwrócić uwagę, że pojęcie filmu artystycznego nie wiadomo czemu kojarzy się niektórym akurat z dziwnością! Nagromadzenie fantastycznych elementów (np. malarz, jak gdyby pożyczony z filmu Reeda) — zalatwiał ma w „Pigułkach” zasadnicze niedostatki pozbawionego ciekawszych pomysłów scenariusza.

Oczywiście są to sprawy, o

które trudno winić reżysera. Cała wina leży bowiem po stronie scenarzysty. I to wina dwójka: zarówno ograniczona pomysłowość jak nie przestrzeganie reguł reżyserskiej gry. Jeśli bohaterowie filmu działają wbrew zdrowej logice i konspiracyjnym zwyczajom, to mamy tu do czynienia z grzechem autora literackiego pierwowzoru rzeczy. I jego to sprawa, że warstwa sensacyjna filmu nie wygląda jak trzeba, że spiecia dramatyczne zależą od kunsztu pirotechnika a nie od roztropnie pomyślanej dramaturgii. Minimalne nawet odczytanie w eksponatach rodzaju sensacyjnego poucza, że broń — jako rekwizyt — tak długo działa dramatycznie, dokąd po raz pierwszy nie wystrzeli. A cóż dopiero mówić, kiedy broń strzela bezustannie, z potrzebą i bez potrzeby, do celu i w okno wyłokich niebios? W pewnym momencie filmu pojawia się grający rekwizyt, wokół którego toczy się będzie akcja. Tym grającym rekwizytem jest worek naladowany bronią. Po jakimś czasie, w najatrakcyjniejszym miejscu rzeczy, gdy ów worek zostaje pod opieką „słabej kobie-



\*) Nowy film produkcji polskiej, reżyseria Stanisław Lenartowicz, zdjęcia Czesław Świrta, scenariusz: A. Scibor-Rylski, muzyka: A. Walaciński.

## PIGUŁKI

atrakcyjnym. Tych akcji jest sporo, ale że skonstruowane są one jak gdyby specjalnie na użytek powolnie myślącego widza — więc sprawa jest najzupelniej prosta.

POWÓD 2. „Pigułki dla Aurelii” to rodzimy western. Początkowo miałem obawy, że nie wszystkie elementy westernu zostaną wykorzystane. Gdy jednak na ekranie pojawiły się owe zarekwizowane pewnemu dzwankowi szkapę — wątpliwości natychmiast mnie opuściły. To jest western z prawdziwego zdarzenia. A że „Pigułki” nie spełniają pewnych przepisów tego gatunku to już inna sprawa, o której będzie mowa potem.

POWÓD 3. „Pigułki dla Aurelii” to film, który raz jeszcze podnosi sprawę walki zbrojnej z okupantem. Tym filmom zwykło towarzyszyć podwojone przynajmniej zainteresowanie naszej widowni, która lubi w kinie oglądać tamte czasy.

POWÓD 4. Jest w „Pigułkach dla Aurelii” ubożuchny wprawdzie, ale zawsze w kontekście miłosny. Niniejszy argument posiada określoną wagę.

## Korespondencja

### z Paryża

## ŁADNY ZWYCZAJ

W Paryżu przed kinami widuje się częstokroć wysokie, drewniane tablice, na których przypięto wycinki z gazet. Są to recenzje, dotyczące się wyświetlanego filmu.

Przed kinem, w którym

„szedł” właśnie film „La Soif du Mal” Orsona Wellesa (co w tłumaczeniu dosłownym oznacza „Pragnienie zła” i mija się z prawdą. Bliższe nam bowiem jest tłumaczenie angielskiego tytułu „Touch of Evil” czyli „Dotknięcie zła”) stała wyjątkowo okazała tablica. Grupowała ona szereg wycinków, które pochodziły z najrozmaitszych pism i dzienników. Między innymi były tam recenzje i zapowiedzi z „L'Aurore”, „Le Figaro”, „Arts”, „Paris Presse”, „L'intransigeant”, „Le Parisien”, „Le Monde”, „France Soir” i innych.

Spoglądając na tę tablicę zastanawiałem się dlaczego opisanego zwyczaju nie można przyszczyć na nasz grunt? Widz by na tym zyskał, to nie ulega wąt-

pliwości. Idąc do kina spojrz — i wie zaraz, czego się może spodziewać — jak tu za paręset franków, tak u nas za osiem czy dziesięć złotych. Tyle przed wstąpieniem w próg kina. Wychojąc żen, może widz z miejscy zorientować się, co kto o tym filmie napisał, porównać różne wypowiedzi i zestawić je z własnym zdaniem. Rzadko bowiem wpadają do ręki widza wszystkie dzienniki omawiające dany obraz. Zwyczaj zdany on jest na łaskę pierwszej z brzegu, najczęściej przygodnej recenzji.

Słowem: warto by namówić kierowników naszych kin, żeby urządzili tego typu wystawy, najlepiej w gablotkach pokrytych szkłem (żeby uchronić pra-